Nr. 47. Poznań, Niedziela, dnia 23-go Listopada 1902 r. Rok VI.

PRACA

Tygodnik Illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ul. Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się; nieobejmuje się żadnej a żadnej gwarancyi za manuskrypta, choćby takowe były przysłane listem za trzożonym. Kto więc do naszej redakcyi przysela manuskrypta, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie ZASTRZEGŁ.

Plotkarstwo
czyli zgnilizna w naszej prasie.

Gdyby Bismark widział z drugiego świata, co się dzieje w polskiej prasie poznańskiej, zacierałby ręce z zadowolenia, bo „Goniec“ i „Orędownik“ tak postępują jakby chcieli dostarczyć dowodu na słynne orzeczenie żelaznego kanclerza, że Polacy są narodem o cechach niewieścich.

Do cech niewieścich bowiem należy w powszechnem mniemaniu plotkarstwo, a cóż innego praktykuje pewien odłam prasy poznańskiej?

Uprawia on z całą czelnością ordynarne plotkarstwo, jakiego nie spotykamy w prasie obcej, czasem nie osłaniając go wcale płaszczykiem dobra społecznego, lecz poprostu z miłości do sensacyi, z wrodzonej uszczypliwości, z nieżyczliwości i zazdrości konkurencyjnej obrzucając błotem inne polskie pisma, przeciwników politycznych lub niemiłe sobie osobistości. Miasto obserwować zjawiska społeczne, trzymać się faktów, patrzeć przed siebie, płotkarze ci z piórem dziennikarskiem niejako, obchodzą ludzi tyłami, skradają się chyłkiem, zaglądają przez płoty, nadsłuchują pod drzwiami i chwytając się lada pozoru, lada słówka, lub nawet bez cienia pozoru składają swe domysły, fałsze i fantazye na cierpliwy papier.

Zamaskowane plotkarstwo pozyskało nawet prawa obywatelskie na bruku poznańskim i przejawia się w najróżniejszych formach. Jakoż n. p. w jednym wypadku czytamy korespondencyą, w której przypina się bliźniemu łatkę, krytykując go z ciasnego punktu widzenia filistra lub konkurenta, tym sposobem posługując się piórem dziennikarskiem w celu zadosyćuczynienia osobistej niechęci. W innym wypadku puszcza się w świat kaczkę dziennikarską, poprostu klamstwo, obliczone na to, by wysondować stan rzeczy, zachwiać wiarę w bezinteresowność i szlachetność motywów kierujących daną osobistością i zdyskredytować ją. Wreszcie występuje się śmiało i twierdzi o przeciwniku coś wręcz niegodnego, ciska się potwarz z czołem wytartem. Czy można nazwać taki proceder łagodniejszem mianem jak płotkarstwo?

Aby upozorować swe wystąpienie taki rozbójnik dziennikarski drapuje się w togę obywatela, przystraja w perukę sędziego i pawie pióra arogancyi i próżności i doszukuje się w napiętnowanym przez siebie fakcie doniosłości powszechnej, gromi swą ofiarę w imię dobra społecznego, roniąc przytem łzy krokodylowe nad upadkiem, nad „zgnilizną“ moralną i t. d. A w tem postępowaniu plotkarz dziennikarski widzi szczyt mądrości, znamię „wyższego rozumu politycznego“ i przebiegłości i albo jest dość naiwnym i wierzy, że spełnia swą misyą dobrze, albo drwi z czytelnika w sercu, uprawiając ów wstrętny proceder z miną augura. W jednym i drugim razie chodzi po świecie pewien siebie i dumny z swej działalności o tyle szkodliwej o ile etycznie nizkiej i niegodnej. Na pozór więc nie ma plotkarzy ni opryszków dziennikarskich, są tylko szermierze i kapłani dobra publicznego....

Nie będziemy przytaczać konkretnych przykładów; każdy uważniejszy z czytelników gazet poznańskich ma ich wiele w rękawie. Nie będziemy też wymieniać notorycznych plotkarzy dziennikarzy, bo są dobrze znani nad Wartą a — nomina sunt odiosa. Ograniczamy się jedynie na kilku uwagach, cisnących się pod pióro wobec objawów tego zboczenia, które nie świadczy pochlebnie ani o pewnym odłamie prasy ani o stojących po za nią zastępach czytelników.

Ogół ma w gruncie rzeczy taką prasę, na jaką zasługuje i jaką

mieć pragnie; plotkarstwo zatem rozwielmożnione w gazetach rzuca pewien cień nietylko na samych adeptów tego procederu, lecz poniekąd na społeczeństwo, które milcząco pozwala na nie i zdaje się w niem gustować.

A kiedyś, gdy historyk wielkopolski z odległości kilku lat dziesiątek będzie spozierać na dobę dzisiejszą i w prasie obecnej szukać zwierciadła stanu umysłowego społeczności, napiętnuje te plotkarskie pisma i powie o nich z pogardą: małoduszni! ślepcy! plotkarze! piraci!

Bo przedewszystkiem tkwi małoduszność w tem wynajdywaniu źdźbła w oku bliźniego, w tem zatapianiu się w sprawach brukowych, w tem czepianiu się rzeczy osobistych, w tej pohopności do nieuzasadnionych twierdzeń, do rzucania kalumni. Przebija w tem bezmyślność, głupota i nikczemność natury ludzkiej.

Prasa ma inne cele a nie szpiegowanie ludzi, jeżeli zaś ich nie widzi, tem gorzej dla niej i społeczeństwa, które winno rozróżnić zdrowem okiem kłos od kąkolu, potępić organy tego pokroju i odwrócić się od nich. Prasa ma być krytycznym wyrazem opinii publicznej, lecz nie echem plotkarzy, jeżeli nie chce obniżyć skali moralnej dziennikarstwa i poziomu swych czytelników — ma trzymać się faktów znaczenia ogólnego, tego co ktoś zdziałał, zamiast wścibiać nos w sprawy osobiste, dodomyślać się rzeczy niepewnych lub niemożliwych i uprzedzać przyszłość, której — nie znamy.

Trzymając się li tylko pozytywnych danych, prasa wywarłaby wpływ zbawienny na ogół, bo w życiu codziennem, na zebraniach towarzystw itd. zarówno jak w prasie da się zaobserwować, że rozchodzi się nie o to, *co* ktoś mówi, lecz o to, *kto* mówi, że zamiast rozbierać kwestye przedmiotowo, bezparcyalnie, obchodzimy kwestye i ferujemy zdanie na mocy racyi ubocznych lub pod wpływem sympatyi i antypatyi, gubiąc cel z oka.

Wyżej głowy! Przestańcie brodzić w błocie ulicznem i ciskać niem na bliźnich, wznieście oczy wyżej, abyście nie widzieli osób, lecz ich czyny w słońcu dobra społecznego!

A wtedy nie będzie „zgnilizny“ w prasie poznańskiej!

Quis.

Ślązk się rusza!

Wieść radosna nadeszła ze Ślązka: nareszcie zabrano się tam do *czynu*, stworzono zawiązek narodowo-politycznej organizacyi. Przed tygodniem odbyło się w *Gliwicach* zebranie, w którem wzięło udział około 200 obywateli polskich wszystkich stanów i zawodów. Zebraniu temu przewodniczył p. dr. *Stęślicki* z Huty Laury, znany i zasłużony lekarz tamtejszy. Cele projektowanej organizacyi uzasadniał p. mecenas *Adamczewski* z Katowic. Stwierdziwszy, że świeży i ożywczy prąd ducha narodowego ogarnia coraz szersze Koła polskiego społeczeństwa ślązkiego, wskazał na to, że nadszedł nareszcie czas, aby lud ślązki sam zaczął myśleć i radzić o sobie. W tym celu należy złączyć wszystkie narodowo uświadomione jednostki, działające dotychczas w rozproszeniu, w jedno silne środowisko, w którem będzie się skupiała i ujawniała praca na niwie narodowej. Ze względu zas na zbliżające się wybory, należy mu nadać charakter „Towarzystwa wyborczego.“

Huczne oklaski, jakiemi zgromadzeni powitali tę propozycyą, były najlepszym dowodem, że mówca trafił w myśl ogółu. Z niemniejszem uznaniem powitano wniosek redaktora p. Korfantego, ażeby nowa organizacya zwalczała także socyalną demokracyę a obok tego ujęła w swe ręce pracę nad oświatą ludową i sprawy ekonomiczne ludu ślązkiego. Ostatecznie stanęło na tem, że zawiązano *„Towarzystwo wyborcze“* i że od razu przystąpiło do niego 150 uczestników zebrania. Do zarządu wybrano pp.: mecenasa *Adamczewskiego* z Katowic, dr. med. *Hankego* z Bytomia, dr. *Stęślickiego*, księgarza *Jasiczka*, rolnika *Białasa* z Czechowa, Fr. *Neumanna*, urzędnika bankowego z Laurahuty, sekretarza *Adolfa Ligonia* z Katowic, obrażnika *Reszkę* z Katowic, mistrza szewskiego *Gaertnera* z Królewskiej Huty, właściciela folwarku *Hanslika* z Gołasowic i właściciela kamienicy *Reszke* z Królewskiej Huty.

Zarządowi temu przyznano prawo kooptowania jeszcze 12-tu osób i upoważniono go do wydania *odezwy do ludu ślązkiego.*

Mamy więc już na Ślązku początek organizacyi i to bardzo poważny. Witamy go z serdeczną radością i życzymy jaknajpomyślniejszego rozwoju!

Jeżli kto, to właśnie „Praca“ nasza z faktu tego radować się może i musi. Oto ziarno, jakie od lat kilku rzucała na żyzne niwy ślązkie, zaczyna wschodzić bardzo bujnie. Myśl wypowiedziana w znanej *„Pobudce“* wydawcy naszego doczekała się rychłego spełnienia; zacne zabiegi dr. *Rakowskiego* nie poszły na marne. Do założenia nowej tej organizacyi przyczynił się głównie założony przez wydawcę naszego przed rokiem *„Górnoślązak.“* A chociaż przeszedłszy w inne ręce dziś zwykłym trybem spraw ludzkich rad by zapomnieć, czyje to ręce dały mu żywot i podtrzymywały go w pierwszych najcięższych chwilach, gdy redaktor jego cierpiał w więzieniu, chociaż w zamian za to dziś nieraz kamieniem rzuca na „Pracę“ — my, dbając jedynie o dobro sprawy naszej, cieszymy się jego rozwojem, jego pracą i chętnie ją popieramy. Bez cienia zawiści przyznajemy obecnym jego kierownikom, że dzielnie biorą się do rzeczy i że dużo już zdziałali w krótkim czasie, lecz prosilibyśmy i o tem pamiętać, że — z *„Pracy“* wziął on początek, że ta „Praca“ nasza, nieszczędząc trudów i ofiar działała już gorliwie w tym samym kierunku, gdy — *dzisiejszego* „Górnoślązaka“ nie było na świecie.

Stało się więc to, do czego *„Praca“* od dawna nawoływała i do czego sama dążyła. Jakże teraz przedstawia się sytuacya na *Ślązku?*

Inicyatorzy nowej organizacyi popełnili niestety błąd, którego milczeniem zbyć nie możemy. Nie zawiadomili o swym zamiarze redakcyi dwóch wpływowych starszych pism na Ślązku: *„Katolika“* i *„Gazety Opolskiej“* — nie powołali ich do współudziału. Tłomaczymy to sobie jedynie w ten sposób, że widocznie nie mieli najmniejszej nadziei, iż — zwłaszcza „Katolik“ pójdzie z nimi ręka w rękę. O piśmie tem obiegają zresztą pogłoski, że w myśl zeszłorocznej swej odezwy przeciwko *„Pracy“* i *„Pobudce“* zawarł już na własną rękę *kompromis z centrum.* Naszem jednakże zdaniem należało tem bardziej starać się o pozyskanie go dla nowej organizacyi,

o odwiedzenie go od tego szkodliwego sojuszu. Dziś nie bez uzasadnienia zasłaniać się może tem, że go odepchnięto od wspólnej pracy. „Katolik" wprawdzie uzurpował sobie dotychczas zawsze monopol kierownictwa sprawą narodową na Ślązku i załatwiał wszystko *samowolnie*, bez pytania się społeczeństwa, w czem tkwiło zło wielkie i szkodliwe. Z tego atoli nie wynika, iż druga strona tak samo postępować powinna.

Jeżli więc pogłoski o owym kompromisie „Katolika" z stronnictwem Centrum polegają na prawdzie, mielibyśmy obecnie na Ślązku dwa obozy: *polski narodowy* i *polsko-centrowy*. Wybór między temi dwoma obozami nie może być dla ludu ślązkiego ani na chwilę wątpliwy. *Jeżli pragnie ocalić swą narodowość, jeżli pragnie, aby przyszłość była dla niego lepszą, aby go bardziej szanowano — może i musi skupić się cały około zawiązanej w Gliwicach nowej narodowej organizacyi.* Wynikła ona z dawno odczuwanej potrzeby, powstała w sposób zupełnie legalny i daje wszelką gwarancyą, że dobrze pokieruje sprawami ludu ślązkiego. Kompromis „Katolika" z Centrum wiedzie natomiast lud na manowce i rozdroża, zaprzedaje go w dalszą ciężką niewolę u Niemców, skazuje go wprost na dalsze pomiatania i wyzyskania *i grozi zaprzepaszczeniem wszystkiego tego, co dotychczas osiągnięto.* Teraz zwłaszcza, gdy z łona ludu powstała legalna narodowa władza wyborcza, dalsze upieranie się „Katolika" przy kompromisie z Centrum byłoby *jawną* i *haniebną zdradą sprawy narodowej.*

Mamy też jeszcze nadzieję, że nietylko nowa organizacya nie pominie niczego, ażeby pozyskać dla swych celów obóz „Katolika" — lecz że i kierownicy pisma tego spostrzegą, na jak niebezpieczną wstąpili drogę, że z niej nawrócą. Stosunki na Ślązku ułożyły się już tak, iż *los sprawy narodowej nie może nadal pozostawać w ręku jednostek, kilku tylko redaktorów.* Z chwilą, gdy lud ujął sprawy swe we *własne* ręce, redakcye powinny poddać się *jego woli*, jego z wyborów powstałej *władzy* i — nie wyrzekając się naturalnie prawa uczciwej *krytyki* — słuchać tej władzy. Może to być przykrem dla ludzi, którzy dotychczas byli wszechwładnymi panami sytuacyi — ale wymaga tego dobro sprawy polskiej na Ślązku.

Jakże to polska prasa ślązka dotychczas uderzała na *„Pracę,"* jakże to obrzucała ją najniegodniejszemi inwektywami i zarzutami! A oto „Praca" pierwsza gotowa podać rękę do zgody, gotowa każdej chwili chwalić nawet i popierać *„Katolika"* — skoro tylko postępować zacznie tak, jak tego wymaga dobro naszej sprawy. I tem chyba najlepszy składamy dowód, że tylko o to dobro nam chodzi — a o nic innego.

Zawiązana w Katowicach organizacya wyborcza, nie jest pierwszą na Ślązku. Już w roku 1893 i 94 istniał w Raciborzu utworzony przez ówczesnego redaktora „Nowin Raciborskich" *I. K. Maćkowskiego* oraz dr. *Rostka* polski ludowy komitet wyborczy, który przeprowadził pierwszą samodzielną akcyą wyborczą na Ślązku.

Był to atoli tylko komitet powiatowy — podczas gdy nowa organizacya ogarnie zapewne cały Ślązk i stanie się dla niego centralną władzą wyborczą. Życzymy jej, ażeby doznała ze strony *całego* ludu ślązkiego takiego samego uznania i poparcia, jak ów komitet wyborczy *raciborski* ze strony polskiej ludności tego powiatu. Wówczas z łatwością pokona wrogów i odniesie świetne zwycięztwo. Wybory ówczesne w Raciborskiem jedynie bowiem z tej przyczyny nie skończyły się tryumfem ludu polskiego, ponieważ zawiedli zupełnie *Morawianie*, stanowiący połowę ludności powiatu raciborskiego.

Jak się stosunki rozwiną w najbliższej przyszłości, trudno dziś przewidzieć. Zależeć to będzie w niemałej mierze od zarządu nowej organizacyi. Może już w chwili, w której numer ten dojdzie do rąk Czytelników, ukaże się odezwa „Towarzystwa wyborczego," †) może przemówią milczące dotychczas starsze organa prasy ślązkiej. Tymczasem radujmy się tem, że uczyniono pierwszy a zarazem wielki krok naprzód na drodze zupełnego odzyskania Ślązka. Zjawił się nareszcie *czyn*, który przynieść musi zbawienie ludowi ślązkiemu.

Dalej więc, dzielny ludu ślązki, stań murem około nowej organizacyi i pokaż Niemcom, pokaż Polsce i całemu światu, żeś już zupełnie odrodzony, że umiesz sam rządzić sprawami swemi! Niechże ci Bóg szczęści na tej drodze!

Narodowiec.

†) Już się ukazała, zamieszczamy ją jednocześnie. — Przyp. Red.

Przed forum świata.

Świat zaczyna coraz uważniej zajmować się niedolą naszą. Świeżo znów w dwóch najwpływowszych i najpoważniejszych czasopismach, angielskiem i amerykańskiem: „Contemporary Review" i „Mc Clures Magazin" rozpoczął się równocześnie druk ważnej dla nas Polaków publikacyi, a mianowicie rozprawy znakomitego angielskiego męża stanu i publicysty Dillona o działalności hakatyzmu w Prusach oraz o środkach, jakiemi odpiera ją społeczeństwo polskie w zaborze pruskim. Rozprawa ta oparta jest na faktach i materyałach statystycznych, zebranych przez autora na miejscu, poprzedza ją zaś list *Henryka Sienkiewicza.*

Sławny nasz pisarz używa w nim do napiętnowania wyrządzonych nam krzywd barw i słów bardzo silnych, tak silnych i ostrych, że tu, pod panowaniem prokuratoryi pruskiej powtórzyć ich nie można. Liczy się jednakże z tem, że słowa jego przeznaczone są dla publiczności obcej, dla której miarodajnemi mogą być jedynie fakta historyczne, a która i na rządy obecnego cesarza Niemiec zapatruje się jeszcze inaczej, niż my. Stąd też Sienkiewicz mówi o tych rządach — mianowicie o pierwszych ich latach w sposób, przypominający żywo nadzieję i złudzenia dawnych ugodowców naszych. Brzmi to dla naszego ucha dziś bardzo dziwnie, ale może jest uzasadnione.

Autor trylogii kładzie na wstępie nacisk na to, że rozprawa rzeczona pochodzi z pod pióra Anglika, a nie Polaka. Gdyby bowiem napisał ją Polak, prasa hakatystyczna zarazby ją oskarżyła o stronniczość i przesadę. Jeśli zaś on — Sienkiewicz — opatruje ją słowem wstępnem, to czyni to tylko z tej przyczyny, aby zaświadczyć i stwierdzić, „że to wszystko, co chrześcijaninowi i człowiekowi ucywilizowanemu wyda się może w tych stosunkach niedopuszczalnem w XX wieku jest, niestety, ścisłą, objektywną prawdą i zarazem polityką, praktykowaną codziennie w dzielnicach polskich, przynależących do monarchii pruskiej".

Rząd pruski — pisze dalej — „dla osłonięcia i usprawiedliwienia" swego postępowania w dzielnicach polskich, powołuje się na tak zwane „niebezpieczeństwo polskie," grożące rzekomo całej Rzeszy niemieckiej ze strony Polaków. Czy takie niebezpieczeństwo istnieje?

„Czy kilka milionów ludności polskiej — pyta Sienkiewicz — żyjącej

pod berłem pruskiem, może być powodem obawy i strachu dla sześćdziesięcio-milionowych Niemiec, zorganizowanych tak potężnie, zarówno militarnie jak społecznie? Odpowiedź może być tylko następująca: albo powoływanie się na „niebezpieczeństwo polskie“ jest bezgraniczną małodusznością albo hipokryzyą ze strony rządu pruskiego. Jakiekolwiek tego rodzaju niebezpieczeństwo mogłoby istnieć tylko w takim razie, gdyby Polacy, zamieszkali nazewnątrz Prus, zamiast należeć do Rosyi i Austryi, tworzyli silne, samodzielne państwo, mogące zaważyć na szalach polityki europejskiej.“

A jednak — niebezpieczeństwo to istnieje, ale jest ono zupełnie innego rodzaju, jest niebezpieczeństwem dla duszy narodu niemieckiego. I to wykazuje autor listu obszernie. Zwraca więc na to uwagę, jaką to była polityka państwa pruskiego od początku jego istnienia. — O Fryderyku II powiada, że „jako człowiek prywatny nie mógłby być . . . . w Anglii i Ameryce.“ W stosunku do Polaków, od czasów tegoż Fryderyka polityka pruska była tego rodzaju, że wprost niema dla niej porównania, — w ostatnich zaś czasach stawała się tem gwałtowniejszą, im bardziej państwo, rosnąc w potęgę, było pewniejsze zupełnej bezkarności.“

Fryderyk Wilhelm III. zagwarantował publicznie Polakom w imieniu swojem oraz imieniu następców poszanowanie dla ich narodowości i języka. A jak dotrzymano tych gwarancyi?

Tego rodzaju polityka musiała się odbić na duszy społecznej pruskiej.

„Rząd — pisze Sienkiewicz — przyzwyczaił swych poddanych do myśli, że siła panuje nad prawem, że zobowiązań można niedotrzymywać, słowo królewskie podeptać, że giąć należy się tylko przed silniejszym, względem słabszych zaś, do których należą Polacy, można się niczem nie krępować. Silne organizmy opierają się zwycięzko rozmaitym chorobom, być więc może, że i to . . . . . . obecnie społeczeństwo potrafi odzyskać w przyszłości zdrowie, ale tymczasem istnieje istotne niebezpieczeństwo, które polskiem można nazwać dlatego, że jeśli nie z winy, to z powodu Polaków zagraża ono *duszy* niemieckiej.“

Była chwila na początku panowania obecnego cesarza, w której zdawało się, iż zrozumiano, że trzeba otworzyć w pruskim gmachu okno i wpuścić do budynku nieco zdrowszego powietrza. Wówczas polepszyły się i stósunki polsko-pruskie. — Ale chwila ta trwała krótko i z powrotem do bismarkowskich idei stósunki z Polakami zaogniły się na nowo — zwłaszcza gdy z wielkiej . . . ., która pękła w Warcinie, przeżywszy wszystko, tylko nie jad własny, zrodziły się tysiące małych żmijek hakatystycznych, które dalej jadem swym zatruwają duszę społeczności pruskiej.

Sienkiewicz kończy list swój temi słowy:

„Jak długo potrwa ta polityka, trudno przewidzieć, ale z ludzkiego i historycznego punktu widzenia długiego żywota przepowiadać jej nie można. Gdyby nawet owa polityka była racyonalną, jest pewien sąd wyższy ponad wszelkie doraźne racye stanu — sąd chrześcijańskich sumień ludzkich — a gdy chodzi o krzywdy, czynione najdroższym uczuciom, takim, jak przywiązanie do wiary, narodowości i języka — gdy chodzi o krew i łzy dzieci i matek, wyrok tego sądu nie może być wątpliwy. *My przetrwamy!*“

Tyle Sienkiewicz. Jesteśmy szczerze wdzięczni zarówno p. *Dillonowi*, że na miejscu poinformował się o sprawach naszych i że zaznajamia z niemi blizko stomilionową ludność angielską po obu stronach Oceanu, jak i wielkiemu pisarzowi naszemu, że uwierzytelnił i poparł rozprawę angielskiego autora świetnem piórem swojem. My już zaraz po sprawie wrzesińskiej radziliśmy sprawę naszą wytoczyć przed *forum świata*. Stało się to teraz, a stało dobrze, bo za pośrednictwem dwóch mężów, którzy cieszą się czcią całego świata. Życzyć tylko wypada, ażeby sąd, o którym wspomina autor trylogii w ostatnim ustępie listu swego rzeczywiście nie był wątpliwym, lecz odpowiadającym ogromowi krzywd, jakie znosić musimy. Niechże świat pozna rzekomą . . . wyższość kultury *prusko-niemieckiej!*

Lector.

„Dobrodziejstwa pruskie.“

Ponieważ hakatystyczna prasa niemiecka zarzuca bezustannie Polakom, że zapominają o *„dobrodziejstwach“* — jakie rzekomo sypią się na nich z ręki rządu pruskiego i hakaty, więc dla uprzytomnienia Czytelnikom naszym tych „dobrodziejstw“ oraz dla ich upamiętnienia, otwieramy z dniem dzisiejszym *nową rubrykę*, w której wszystkie skrzętnie notować będziemy. Sądzimy, że tem wreszcie prasę niemiecką najzupełniej zadowolimy.

Rozpoczynamy:

Nowe prawo wyjątkowe przeciwko robotnikom polskim,

„Rhein. Westf. Ztg.“ pisze: „W najbliższym czasie jedna z największych spółek zawodowych (Unfall-Berufsgenossenschaft), jakie istnieją w tutejszym obwodzie przemysłowym, pójdzie śladami władz górniczych w sprawie mowy niemieckiej i przepisy wydane w roku 1899 przez policyę górniczą, wyda dla fabryk odnośnych. Ze względu na niebezpieczeństwo, jakie powstaje przez zatrudnianie robotników, *niewładających językiem niemieckim,* mogliby w przyszłości w odnośnych fabrykach być zatrudnieni obcojęzyczni robotnicy *tylko wtedy, jeżeli będą władali językiem niemieckim dostatecznie w słowie i piśmie,* aby zrozumieć mogli dobrze rozporządzenia drukowane i pisane oraz ustnie wydawane rozkazy. Także w interesie mowy niemieckiej, która przez polską agitacyę fanatycznie bywa zwalczaną, należy takie postępowanie z radością powitać.“

Gdyby chodziło tylko i rzeczywiście o dobro i bezpieczeństwo polskich robotników, można było przecież wydać przepisy ostrzegające w *polskim języku.* Dobroczynność niemiecka takiemi fatałaszkami się nie zajmuje; woli oto, ażeby robotnicy polscy, nie władający językiem niemieckim — bez pracy i zarobku *z głodu umarli.*

Gbleb — albo niemiecka nauka religii.

W pewnej wiosce górnośląskiego obwodu przemysłowego dzieci szkolne mimo nacisku nauczyciela, nie uczęszczały na niemiecką naukę przygotowawczą do Sakramentów św., ponieważ rodzice na to zezwolić nie chcieli. Inspektor szkolny chwycił się więc dosadniego sposobu dla dopięcia swych celów germanizacyjnych. Doniósł zarządowi przedsiębiorstwa przemysłowego, że pracuje tam wielu robotników, którzy nie pozwalają dzieciom uczęszczać na naukę niemiecką. Prócz tego żądał w owem piśmie, aby na robotników wywierano nacisk, żeby zaniechali oporu.

W tym wypadku podobno zarząd fabryki oparł się żądaniu pana inspektora; ależ już ten pomysł jego dowodzi, jakie to ma „czułe serce“ dla robotników polskich oraz ich dzieci.

Cztery tygodnie trudów i mozołów, kosztów i przykrości zgotowała *„dobroczynność“* pruskiego urzędnika stanu cywilnego *w Mogilnie* obywatelowi tamtejszemu p. Jankowskiemu, gdy tenże słusznie żądał, aby nazwisko żony jego wpisano do księgi z końcówką „ska.“

Rzecz się tak miała:

„Gdy p. J. doniósł o urodzeniu córki, urzędnik stanu cywilnego chciał zapisać nazwisko żony jego z końcówką męską „ski“- Pan Jankowski nie chciał zgodzić się na to, a burmistrz odwołał się na rzekome rozporządzenie rejencyjne, którego jednak na życzenie p. Jankowskiego okazać nie mógł. W końcu burmistrz oświadczył, że inaczej

zapisywać nie myśli. Wobec tego p. Jankowski protokołu nie podpisał, co spowodowało zapozew, że jeżeli w trzech dniach urodzenia nie zamelduje, będzie musiał zapłacić 10 mk. kary. Poszedł więc ponownie do urzędu stanu cywilnego, ale i tym razem urzędnik chciał nazwisko żony jego z końcówką „ska“ zamieścić tylko w nawiasie i żądał dowodów, że nazwisko Jankowski jest polskiego pochodzenia. Pan Jankowski udowodnił to ostatecznie i w końcu po czterech tygodniach urzędnik wyczerpawszy wszystkie zasoby swej wiedzy, czuł się zniewolonym zapisać nazwisko z końcówką polską, a więc „Jankowska“, a nie Jankowski“.

Niestety jesteśmy do tego stopnia „*niewdzięczni*,“ że nietylko wyrażamy panu I. gorące uznanie za to, ale stawiamy go nadto za *przykład* wszystkim innym ojcom rodzin.

W Inowrocławiu gimnazyalni uczniowie katoliccy od trzech miesięcy *nie pobierają nauki religii*. „Dzien. Kuj.“ donosi:

„Od czasu, jak X. prof. Kurzawski opuścił nasze miasto, udając się do Pakości, władza szkolna nie pomyślała dotychczas o zamianowaniu nowego nauczyciela, któryby w tutejszem gimnazyum wykładał uczniom naukę religii. Minął już z góry cały kwartał, a dotychczas nie zapadła jeszcze w tym względzie żadna decyzya, chociaż tu na miejscu wybór przecież nie jest znowu tak trudnym, kiedy obowiązki pasterskie pełni prócz radzcy proboszcza, trzech wikaryuszy.“

To znów dowodzi, jaką pieczą otaczają władze pruskie *religią katolicką!*

Sąd poznański skazał odpowiedzialnego redaktora „Dziennika Poznańskiego“, pana Chojnackiego, na 100 mk. kary, za obrazę rektora *Krukowskiego* w Miłosławiu. W procesie tym wyszło na jaw:

„Pan rektor Krukowski przyznał się, że chłopcu polskiemu Paczyńskiemu, który był krnąbrnym podczas nauki religii wymierzył 15 razów trzcinką na ręce, na siedzenie i plecy. Ponieważ zaś Paczyński wygrażał, że za religią bić się nie pozwoli, pan rektor kazał *go przytrzymać czterem chłopcom*. Przyznał dalej pan rektor, że kara wymierzona Paczyńskiemu, *była ostrą, niezwykłą*, ale nie przekraczającą prawa karania, przysługującego nauczycielom.

„Zaprzysiężony jako rzeczoznawca lekarz p. dr. Lehmann zeznał, że Paczyński miał na niektórych częściach ciała *sine pręgi*, widział nawet *pościeraną skórę*, ale pochodziło to, zdaniem jego, od ubrania. W ogólności jednak plagi, które Paczyński otrzymał, nie mogły wpłynąć szkodliwie na jego zdrowie.

„Swiadek inspektor szkolny powiatowy Schulz potwierdził, że Paczyńskiego na żądanie jego ojca zwolnił *na dwa dni od nauki*. Przyznał, *że kara była dość surową*, surowszą niż zwykle, ale chłopiec na nią zasłużył przez swoją krnąbrność.“

Mimo świetnej obrony redaktor, który nie zdołał *nic więcej* udowodnić po nadto, zapłaci 100 mrk. i koszta, a chłopiec całe życie zachowa w wdzięcznej pamięci te ... „wyjątkowe“ plagi!

Na razie tych 5 wypadków. Obejmują one wszystkie niemal warstwy społeczeństwa naszego. W jednym z najbliższych numerów zbierze się może wiązka znaczniejsza.

Bądźcie wdzięczni Rodacy — za te „*dobrodziejstwa pruskie*.“

I. K. M.

Z TYGODNIA.

Większość *agrarno-konserwatywno-centrowa* w parlamencie niemieckim postawiła na swojem: zmieniła regulamin obrad o tyle, że odtąd głosowanie imienne odbywać się będzie kartkami, a nie ustnie przez co zyska się na każdem takiem głosowaniu 15 minut czasu. Wniosek *Aichbichlera*, który w imieniu większości żądał tej zmiany, przyjęty został 190 głosami przeciwko 72. Ileż drogiego czasu zmarnowano atoli, zanim uzyskano tę uchwałę! Obstrukcya, składająca się z jednej części wolnomyślnych i z socyalnych demokratów usiłowała przeszkodzić jej wszelkiemi siłami. Mówcy z tej strony, mianowicie socyaliści *Stadthagen* i *Heine* wysilali się na jaknajdłuższe mowy, aby znużyć większość, zniechęcić i może część jej posłów skłonić do wyjazdu do domowych penatów. Heine przemawiał raz blizko pięć godzin, drugi raz znów blizko cztery. A mówił umyślnie cicho i niezmiernie nudnie. W drugiej swej mowie np. przez pół godziny wyliczał drzwi w sali posiedzeń parlamentu przyczem przy każdych drzwiach zaczął wszystkie liczyć od początku: raz, dwa, trzy i t. d. To też posiedzenia, na których obradowano nad wnioskiem Aichbichlera trwały 9 i 10 godzin. Inni posłowie z obstrukcyi zarzucali parlament coraz to nowemi wnioskami i poprawkami. Lecz większość wytrwała, przetrzymała wszystko. Na wszystkie wybiegi i protesty odpowiadała stale, że jako większość ma prawo uchwalać wszystko, co jej się podoba, nawet zmieniać regulamin obrad. Padały przytem ostre słowa, jakich przedtem nigdy nie słyszano w parlamencie niemieckim, wymyślano sobie nawzajem w sposób dość nieparlamentarny, zarzucano wzajemnie gwałt i bezprawie. Ostatecznie wszystko zredukowało się do burzy w szklance wody — bo ani w przybliżeniu nie mogło się to równać z podobnemi zajściami w innych parlamentach np. w austryackim, włoskim, francuzkim. Okazało się, że nawet socyalistyczni posłowie niemieccy są ludźmi grzecznymi i łagodnymi. W piątek nareszcie skończyła się ta walka — jak już powyżej zaznaczyliśmy — zwycięztwem większości. Obstrukcyi wytrącono z ręki ostry środek do przewlekania obrad, ale jej bynajmniej nie ubezwładniono. Pozostał jej przecież inny jeszcze skuteczniejszy nawet, a mianowicie *wyliczanie* posłów. Jeżeli z niego skorzysta, rząd bodaj czy się doczeka przeprowadzenia obrad nad nową taryfą w parlamencie. Wystarczy oto, jeżeli mniejszość przy każdem głosowaniu opuści salę z wyjątkiem jednego posła, który wniesie o policzenie posłów.

I gdy będzie ich mniej, niż 199, każde posiedzenie skończy się na niczem. Nie ma zaś wielkiej nadziei, żby ich stale było tylu obecnych. Nawet podczas zaciętej walki o wniosek Aichbichlera liczyła większość najwięcej 190 głosów. Stronnictwa większoci nawołują wprawdzie surowo pozostających w domu członków swoich, aby brali udział w obradach; dopóki atoli rząd nie przystanie na płacenie posłom *dyet*, nawoływania te nie odniosą skutku. Rząd zaś na razie nie ma ochoty do spełnienia tego żądania parlamentu. Więc los nowej taryfy pozostał, jak był dotychczas wielce wątpliwym.

Podczas walki o wniosek Aichbichlera przemawiał krótko także poseł nasz p. ***Głębocki.*** **Mówca przyznał większości prawo do zmiany regulaminu, ale oświadczył się** ***przeciwko*** **wnioskowi Aichbichlera. Koło polskie zaznaczył — już we własnym interesie nie może głosować za ograniczeniem środków obrony mniejszości. I w myśl tego oświadczenia głosowało też Koło polskie.**

W tym samym czasie rozgrywały się w parlamencie *austryackim* daleko gorsze, gwałtowniejsze sceny. Kłócili się tam wyjątkowo *Niemcy* między sobą. Przed tygodniem odbywały się w Wiedniu wybory do sejmu dolnoaustryackiego, które skończyły się świetnem zwycięztwem antisemitów nad socyalistami i liberałami. Ponieważ zaś podczas tych wyborów policya dopuszczać się miała wielkich gwałtów i nadużyć, socyaliści wnieśli z powodu tego interpelacyą w par-

lamencie. I przy tej sposobności przyszło między nimi, a posłami antysemickimi do burdy więcej niż karczemnej. Obsypywano się nawzajem wyzwiskami, jak: mordercy, oszuści, łotrzy, zbóje, „lausbuben“ i t. d. Na następnem zaś posiedzeniu stawili się *Wszechniemcy* z *Czechami*, przyczem pierwsi dali nowy dowód „wyższości“ swej kultury, gdyż z nienacka napadli i poturbowali ciężko pięściami posła czeskiego *Schnala*. Nazwał on wprawdzie posła wszechniemieckiego Steina „niemiecką świnią,“ ale epitet ten odpowiada podobno zupełnie wartości moralnej tego „wszechniemca“ i właściwie koledzy jego nie mieli powodu w ten sposób ujmować się za jego „honorem.“

Na tem posiedzeniu obradowano nad stanowiskiem rządu austryackiego w sprawie czesko niemieckiej ugody językowej. Dwukrotnie przytem przemawiał sam prezes gabinetu dr. *Koerber*. Nie szczędził on Czechom słodkich słówek, lecz bynajmniej nie okazywał ochoty do ukrócenia przywilejów językowych Niemców. Ponieważ zaś Czesi, nie tak, jak Polacy w Austryi, nie zadowalają się komplementami, lecz żądają uwzględnienia słusznych swych żądań, więc i te mowy *Koerbera* nie zmieniły położenia. Pozostało ono niepewnem jak było. Ogólnie jednak panuje mniemanie, że rząd „coś“ uczynić *musi*, jeżeli parlament ma spełnić właściwe swe zadanie. Tylko co do tego „coś“ zdania są podzielone. Rząd od razu mógłby przywrócić spokój, gdyby na seryo przytłumił uroszczenia Niemców, ale do tego nie ma odwagi. I dziś więc jeszcze nikt przewidzieć nie zdoła, co już w najbliższych dniach stanie się w stolicy Habsburgów nad modrym Dunajem.

Cesarz *Wilhelm* powrócił już z *Anglii*. Czy osięgnął naprawę angielsko-niemieckich stosunków, nie wiadomo. Sądząc po głosach półurzędowych prasy niemieckiej, wnosić można, że nadzieje przywięzywane do tej podróży zawiodły.

Z *Francyi* nadchodzi pomyślna wiadomość, że gabinet eksksiędza Combesa podobno już ostatkami goni. Smutną po nim spuściznę ma podobno objąć obecny minister finansów *Rouvier*, który chce oprzeć się na większości *bez* socyalistów. Widocznie już i masoni francuzcy uznają, że dłuższe rządy ich pupila mogłyby im zaszkodzić. Spełnił on już zresztą co miał spełnić, zniszczył zakony i szkoły katolickie, nowe pęta nałożył na Kościół i duchowieństwo. Zemści się to na Francyi, na razie jednakże masoni tryumfują.

Ubiegły tydzień zaznaczył się w dziejach także nowym zamachem na głowę koronowaną. Okazało się przytem, że monarchom nieraz nawet zamachy na dobre wyjść mogą, gdy im szczęście sprzyja. W tym więc wypadku nie można mówić o ofierze zamachu. Rzecz miała się tak. Gdy król belgijski *Leopold* wracał z nabożeństwa za duszę swej małżonki, jakieś indywiduum stojące przed kościołem strzeliło z rewolweru do powozu, w którym miał król jechać. Dziwnym atoli zbiegiem okoliczności król wbrew zwyczajowi swemu wsiadł do innego powozu. Kula chybiła więc celu, jedynie jadący tym powozem ochmistrz dworu hr. D'Oultremont lekko raniony został odłamkami szyby. Sprawcą zamachu był, jak zwykle w ostatnich latach, *Włoch*, niejaki *Rubino*, człowiek często już karany za rozmaite nieczyste sprawki. Publiczność brukselska, nie gustująca w takich zbrodniach, rzuciła się na niego i byłaby go rozszarpała, gdyby nie policya. A jak zwykle bywa w takich razach sympatya ogółu zwróciła się od razu ku temu, który miał paść ofiarą zbrodni. Wiadomo zaś, że król *Leopold* nie cieszył się miłością swych poddanych, zwłaszcza od owej pamiętnej chwili, w której to własną córkę, hrabinę Lonyay odepchnął od trumny matki. Zamach więc bardzo mu się przysłużył. Nie tylko, że wyszedł cało, ale odzyskał nawet utraconą już sympatyę swego ludu. Wobec tych dziwnych okoliczności przypuszczano już, że była to zręcznie ułożona komedya. Śledztwo wykazało jednakże, że mamy tu znów przed sobą jeden z objawów owej strasznej choroby społecznej, wynikłej z braku wiary, a zwiącej się *anarchizmem*.

W *Hiszpanii* i w *Bułgaryi* zaszły w ubiegłym tygodniu zmiany gabinetów, których doniosłości na razie jeszcze ocenić nie można.

Ze spraw ściśle *polskich* zaznaczyć tu wypada powrót byłego *Biskupa wileńskiego*, wywiezionego w głąb Rosyi ks. Zwierowicza. Nominacya jego na biskupa Sandomirskiego stała się przez to faktem. Oby na tem nowem stanowisku szlachetny ten książę kościoła nie zaznał tych cierpień, jakie spadły na niego na stolicy *wileńskiej*.

Sejm *pruski*, który i w tej sesyi ma uchwalić nowe miliony, na wypieranie Polaków — a także — wbrew naszym oczekiwaniom — na budowę pałacu cesarskiego w Poznaniu — zbierze się podobno dopiero w *styczniu*. Posłowie nasi już zapewne zbierają materyał do odparcia tych nowych ciosów, o ile to możliwe.

Przegląd prasy.

Czytelnicy wybaczą, że raz jeszcze powrócimy na wstępie dzisiejszego naszego przeglądu prasy do owej niegodnej napaści, jakiej się dopuściły na „Pracę“ i jej wydawcę dwa pisma polskie, *Goniec Wielkopolski*“ i „*Słowo polskie*,“ wychodzące we Lwowie. Pragnęlibyśmy atoli podzielić się z nimi jeszcze dwoma cytatami z pism polskich, potępiającemi tę napaść. I tak bardzo ostro wyraziła się o niej krakowska „*Nowa Reforma*“ dopatrując się w niej jedynie *zemsty* osobistej lub stronniczej, zajmujący zaś zupełnie przeciwne stanowisko polityczne „*Kraj*“ petersburski w korespondencyi z Poznania tak ją ocenia:

> „Czasem i sami publicyści traktują się wzajemnie w sposób, który wcale nie wpływa na podniesienie ich *prestige'u*. Niestety! zdarza się to niekiedy i u nas. Tak np. obecnie w pewnych organach poznańskich prowadzi się wielce przykra polemika z powodu rzekomo projektowanej sprzedaży „Pracy“. „Goniec Wielkopolski“, do niedawna największy przyjaciel i sojusznik „Pracy“, ogłosił, iż ma dowody, jakoby p. Biedermann zamierzał sprzedać swój tygodnik... kapitalistom rosyjskim. Pośredniczyć miał p. Swatkowski, berliński korespondent „Now. Wremieni“. Cała historja wyglądała od razu, jak *bajka o żelaznym wilku*. P. Biedermann zaprzeczył kategorycznie. Dowody, które wyłuszczył „Goniec“, *okazały się tego kalibru, co wiadomości kolportowane przez stare panny po Caffe Kränzchen*“. Jednak sam fakt, że tego rodzaju polemiki mogły się pojawić na szpaltach dzienników, jest bolesny.“

Cytaty te przekonają łaskawych Czytelników naszych, że oszczerstwo tych dwóch organów znalazło w prasie polskiej ocenę, na jaką zasługiwała. To nam zupełnie wystarcza!

Na jedno jeszcze pozwolimy sobie zwrócić uwagę. Oto ogromnie patryotyczny „*Goniec*“ popadł w ostatnim czasie w wielką miłość *do . . . . żydów* i błaga ich, aby zostali *Polakami*. Oto, co pisze o tym nowym zwrocie tendencyi „Gońca“ „*Gazeta Toruńska*:“

> W „Gońcu Wielkopolskim“ pojawił się artykuł p. t. „W kwestyi żydowskiej“, w którym autor opowiada drobiazgowo dzieje Izraela w Polsce. Artykuł sam jest faktem znamiennym, że się pojawił w „Gońcu“, ale nie ciekawym, bo cóż nas obchodzić mogą wynurzenia żydowskie. Zato ciekawy jest ustęp końcowy. Ustęp ten brzmi następująco: „Goniec“ pisze:
>
> „*Często powtarzany argument, że trzeba przeciągnąć do siebie żydów,*

lo wogą pójść do Moskali, ma dziś w Królestwie więcej uzasadnienia niż kiedykolwiek. Od szkolnej już ławy wykazujemy niesłychany rozmach w ustępstwach dla Litwinów, Rusinów i. t. p. potem zaś, dojrzewając i trzeźwiejąc, myślimy o kupowaniu sobie na drodze pojednawczej Moskali i Prusaków. Trzeba wszakże pamiętać, że kto kupuje, musi płacić".

Ostatnie arcyznamienne zdanie „Gońca": *„Dla nas bardzo pożądane jest, żeby żydzi nasi byli polskimi* nie moskiewskimi. Ale osiągnięcie tego nie może nas za drogo kosztować".

„Jaki jest sens artykułu? Otóż (pisze dalej „Gazeta Toruńska") bez wątpienia ten: Handeles spekuluje: Kupujecie Litwinów, Rusinów i Moskali, kupcie więc nas żydów, a w zdaniu końcowem daje nam do zrozumienia, że „za drogo nas to kosztować nie będzie". Zabawną i zarazem przebiegłą jest ta propozycya „Gońca" kupowania żydów tylko w Królestwie Polskiem, odsłania ona bowiem całą politykę żydowską i rolę żydów, jaką odegrali w masce wszechpolskiej. Znając wpływy żydowskie i potęgę żydów, byłoby z naszej strony błędem strasznym, gdybyśmy akcyę ich mieli lekceważyć."

Ale dość na tem, przejdziemy teraz do innych ważniejszych dla ogółu naszego spraw.

Sprawę pojednania *rosyjsko polskiego* bardzo trafnie określił we wstępnym artykule *„Kuryer Poznański."* Organ ten, którego pewne żydowsko polskie sfery posądzają również nie słusznie o *bezwzględny tak zw. rusofilizm* pisze między innemi:

„Zapatrywanie nasze na stosunek nasz do Rosyi powinno sięgać i sięga też dalej i głębiej. Obejmuje ono *całokształt naszego narodu*, nie rozłącza interesu zachodniej Polski od interesu Polaków pozostających pod berłem rosyjskiem.

„Nie chcemy, by Rosya, widząc rozwój idei słowiańskiej u nas i rzeczywiście sympatyczne witanie głosów prasy rosyjskiej ujmującej się gorąco za nami, mogła nas przeciwstawiać naszym braciom z za kordonu i odezwać się do nich ze zdaniem, że przecież niesłusznie się skarżą na ucisk, gdy zachodni Polacy z takim zapałem wyrażają się o błogosławieństwach stosunku polsko-rosyjskiego. Nie! Idea słowiańska, którą przejęci jesteśmy do głębi, poczucie pokrewieństwa szczepowego do Rosyan, które w nas żyje i rośnie, nie pozwala nam bynajmniej zamykania oczu na to, jak się Rosya sama w praktycznem zastósowaniu idei słowiańskiej zachowuje wobec tych Polaków, którzy bezpośrednio jej rządom podlegają. W tem leży jądro kwestyi.

„Ten wzgląd musi być dla nas miarodawczym, musi stanowić o tem czy łączność słowiańską uważać możemy jako rzecz bliskiej, czy też dalekiej przyszłości."

Na to pojmowanie kwestyi rosyjsko polskiej i rzekomego „rusofilizmu" u nas najzupełniej się godzimy.

Bardzo obszerną dyskusyą w prasie naszej wywołała sprawa *„Biblioteki Raczyńskich."* Wszystkie organa prasy naszej wypowiedziały dobitnie oburzenie ogółu z powodu nowej tej „zdobyczy" nadkultury niemieckiej. Niektóre atoli wzięły w obronę hr. *Edwarda Raczyńskiego*, twierdząc, że nie będąc ordynatem hr. R. nic tu zdziałać nie mógł.

Ostatecznie wszystko składa się tak jak to określiliśmy w naszym artykule w numerze 45 pisma naszego.

Także mnożące się wypadki, iż niegodni imienia polskiego agenci „Polacy" wykupują z rąk polskich majątki, aby je później oddać w ręce komisyi kolonizacyjnej, znalazły stosowne i należyte napiętnowanie w prasie naszej. *„Dziennik Poznański"* dowiaduje się przytem ciekawych szczegółów o dalszych zamiarach *komisyi* względem ziemi polskiej. Oto, co pisze:

„Nie mniej ważnym jest drugi punkt, poruszony przez naszego korespondenta. Twierdzi on, jako komisya postawiła zasadę, że *musi wykupić wszystkie majątki i grunta w powiatach poznańskich*, o ile wogóle przystępne będą dla nabycia w ten czy ów sposób.

„Cel bardzo przejrzysty! Chodzi o to, żeby złamać siłę polską przy wyborach do parlamentu. Poznań „niemiecki" z powiatami wybiera dotąd Polaka. To wielce korci hakatystów; dlatego przez owładnięcie ziemi chcieliby zapanować nad sumieniem polskiej ludności lub wypchnąć ją z tej pozycyi, żeby Poznań mógł wybrać do parlamentu Niemca. Jakże pożądanem będzie wobec takich okoliczności każde rozdwojenie w polskim obozie?

„Niech ta przestroga padnie u nas na urodzajną glebę, abyśmy nie tylko w zgodzie działali, nie tylko nie uronili jednej skiby w danych powiatach, *ale o ile możności przysporzyli gleby naszemu stanowi posiadania.*"

Trudne to zadanie w okropnych naszych stósunkach, ale bynajmniej nie niemożliwe. Mimo wszelkich przeciwności możemy jednak postępować w dobrobycie. Potrzeba atoli do tego *dwóch sił*, na które trafnie wskazuje *„Dziennik Kujawski."* Pisze on, co następuje:

„Ocalenie i zwycięztwo jest pewne, byle tylko umieć walczyć. Opatrzność Boża, powołując do życia narody, dała im dwie potężne siły, które łamią wszystkie zapory, pokonują wszystkie trudności.

„Temi dwoma potęgami niezwalczonemi są: *siła ducha i siła materyi.*

„Siła ducha, zapał nigdy nie gasnący i poświęcenie dla ogółu utrzymują wprawdzie życie narodu, ale nie starczą, ażeby to życie widome a silne przybrało kształty.

„Dwie te siły muszą *równocześnie* pracować, jedna drugą wspomagać, a wtedy w organizmie rodzinnym, społecznym i narodowym będzie biło potężnie tętno życia, którego nikt podciąć nie będzie w mocy."

„Wielkopolanin" stwierdza jak fatalne skutki wywiera działalność komisyi kolonizacyjnej na nasze *zdrowie moralne* — dając sposobność pasożytom wyzutym z czci do maczania rąk w sprzedawaniu majątków kolonizacyi, do współdziałania z panem Kronheimem i t. p. „Wielkopolanin" zauważa, że „zgnilizna zaczyna przybierać cechy objawu niemal codziennego" i wzywa obywatelstwo, by zajęło stanowisko jasne i zdecydowane, bo „nie wystarcza dziś potępianie w prywatnych kołach wypadków zgnilizny."

„Trzeba wyraz oburzenia jawnie zamanifestować, aby nie powstało w innych kołach przekonanie, że ziemiaństwo zachowuje się pobłażliwie i biernie wobec tych symptomów strasznej choroby nikczemności."

Pomyślnym objawem w naszem życiu społecznem był *wiec kobiecy*, zwołany w sprawie zawiązania *związku zawodowego dla kobiet*, który odbył się w zeszłą niedzielę. Czas był, aby kobiety pomyślały nad dolą licznych pracownic, stworzyły podporę dla nich, chroniły je przed wyzyskiem. A do związków niemieckich nie może należeć polski pracownik, gdyż jest narażony na socyalizm i na germanizm. Do polskiego związku zapisało się zaraz 60 kobiet.

„Tak więc — pisze „Postęp" — sprawa kobiet zarobkujących na swe utrzymanie postąpiła o znaczny krok dalej, od nich samych będzie zależało, czy związek będzie z korzyścią prosperował dla ich własnego dobra."

W tej chwili, gdy to piszemy, najżywszy interes budzą *wybory do rady miejskiej*, które odbywają się w dniach 20, 21 i 22-go b. m.

Z innych spraw na porządek dzienny weszła kwestya wyborcza na Ślązku, którą wysunęła znowu odezwa Polskiego Towarzystwa wyborczego na Ślązku, jaką Czytelnicy nasi znajdą poniżej. Zdanie nasze w tej materyi wypowiadamy w artykule. Nie cała prasa zaopiniowała już o śmiałym kroku Polaków, który zaniepokoił prasę niemiecką na G. Ślązku.

„Dzien. Pozn." wyraża obawę, że nowopowstała organizacya wywoła pomiędzy Polakami rozdwojenie, z którego skorzystają przy wyborach socyaliści. Natomiast *„Dzien. Berl."* podnosi, że i największy zwolennik sojuszu dalszego z centrum zgodzi się na to, że *ostatecznie i z akcyi radykałów polskich na Ślązku skorzysta ogół polski*, i pisze:

„Zdanie to trafne wypowiedział „Dz. Kuj." latem jeszcze, w czasie rozpraw

znanych o program wyborczy na Śląsku — warto je przypomnieć naszym konserwatystom teraz, gdy osobna organizacya narodowa na Śląsku stała się faktem.

„Jeżeli ta organizacya sama nie zdoła, jak twierdzą, przeprowadzić swych zamiarów, to jest przeprowadzić wyboru kilku narodowych posłów, przynajmniej niechże z istnienia jej korzystają ci, co pragną iść razem z centrum, i niech wywierają nacisk, ażeby centrum ofiarowało przyzwoite warunki za zgodną akcyą wyborczą... Do układów z centrów czas będzie choćby na parę tygodni przed wyborami, bo centrum zależne na Śląsku od głosów polskich — gdyby akcya narodowców się nie udała, może trzymająca się dotąd na uboczu partya „Katolika“ zawsze jeszcze podziałać korzystnie na rzecz ogółu — samo istnienie radykalno narodowej organizacyi będzie już ułatwiało pracę... *B. M.*

Odezwa.

Od Towarzystwa wyborczego na G. Śląsku odebraliśmy następujące pismo:

„Obywatele! Rodacy!

Przez wieki całe Śląsk był odcięty od pnia macierzystego. Wszyscy ci, którzy mogli mu być przewodnikami, przeszli do obozu niemieckiego i tam razem z Niemcami pracują nad zanikiem żywiołu polskiego. Szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo, jednem słowem wszyscy, którzy pod względem majątkowym lepiej byli wyposażeni, zniemczyli się, a pozostał wiernym językowi i obyczajom tylko lud biedny.

Lud ten, któremu całą troską musiała być nieustanna i okropna walka o codzienny kawał chleba, przez wieki spał i był igraszką w ręku swych panów.

Zabłysła atoli i u nas zorza odrodzenia narodowego. Lud zaczął się budzić i przejrzał, że i on jest polskim, że mówi tym samym językiem, co rodacy jego pod Poznaniem, Warszawą i Krakowem, że obyczaje i dążności jego są te same, co reszty Polaków, że i on ma prawo do bytu narodowego.

Przejrzawszy ostatecznie i zabierając się do walki, lud nasz przekonał się od razu, że nie ma ani wprawy w niej ani też nie zna jej sposobów. Nic więc dziwnego, że jednostki inteligentne odrazu musiały wziąść przewodnictwo całego ruchu w ręce swoje i kierowały całą sprawę naszą tak, jak to uważały za stosowne.

Jednostkami temi u nas byli redaktorzy nielicznych pism polskich, wychodzących na ziemi śląskiej. Każdy przyznać musi, że owoce ich pracy mozolnej są wielkie. Nikt zaprzeczyć nie może, że polska teraźniejszość i przyszłość wdzięczną im będzie za dokonaną pracę.

Nasz ruch narodowy atoli z czasem tak się wzmógł, że żadna jednostka, choćby najwybitniejsza, ogarnąć go nie może. Lud nasz w walce przez ostatnie lat dziesiątki nabrał pewnej wprawy politycznej i wyrobił się pod względem obywatelskim.

Liczba inteligencyi wzrasta niespodziewanie.

Z tych oto przyczyn wynika, że dziś nie może już być mowy o tem, aby redaktorzy i wydawcy gazet narzucali swoją politykę społeczeństwu całemu. Losami społeczeństa powinny kierować nie jednostki, lecz obywatele sami, i to przedstawiciele wszystkich warstw stojących na podstawie narodowej.

Dlatego też my jako obywatele polscy i zjednoczeni przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, mający na oku wyłącznie dobro społeczeństwa naszego, postanowiliśmy ująć sprawy publiczne w ręce swoje i cały nasz ruch narodowy skierować na drogi prawidłowe.

Jesteśmy Polakami! Oto wyznanie naszej wiary politycznej.

Jako Polacy nie możemy zezwolić na to, aby panoszyły się na ziemi polskiej jakiekolwiekbądź stronnictwa niemieckie. Tu na tej ziemi polskiej, miejsce jest dla nas.

Dotychczas u nas wszechwładnie panowali Niemcy. Dziwną conajmniej jest rzeczą, aby Niemcy, choćby nawet katolicy, byli przedstawicielami ludności polskiej, której nigdy zrozumieć nie mogą.

My nie zwracamy się przeciw centrum jako stronnictwu katolickiemu, bo jako katolicy zawsze pójdziemy ręka w rękę w sprawach religijnych. Zwracamy się przeciw centrum raz dlatego, że żaden Niemiec nie ma prawa wyciągać ręki po mandat polski, dalej, że centrum nabiera coraz bardziej cech partyi rządowej, w końcu, że zwolennicy jego u nas uprawiają politykę germanizacyjną.

Kuszą się u nas o mandaty polskie także socyaliści niemieccy i tak zwani polscy, szczycąc się, że są jedynymi obrońcami uciśnionych. — Nieprawda! Niedola ludu roboczego leży nam więcej od nich na sercu Zwalczamy socyalistów dlatego, I. że są wrogami wiary i Kościoła naszego, II. że świętą nam narodowość uważają za rzecz podrzędną, III. że sieją nienawiść i podniecają walkę klas śród społeczeństwa naszego.

Nie nienawiść, nie hasła wiele obiecujące mogą nam przynieść ulgę i pomoc w ciężkiej doli naszej, lecz nieustanna i mozolna praca na polu oświaty, systematyczna obrona interesów ludu i organizacya sił, które tkwią w nim, mogą dolę naszą poprawić.

Jako Polacy całą naszą działalność na polu politycznem i zarobkowem musimy oprzeć wyłącznie na interesach szerokich mas ludu. *Przez lud — dla ludu!* Oto hasło nasze.

Dlatego musimy ująć w karby dorywczą pracę dotychczasową na polu oświaty ludowej, organizacyi sił ludowych w spółkach i związkach zawodowych, a do Berlina wysyłać jako przedstawicieli mężów takich, którzy znają opłakaną dolę ludu naszego i bezwzględnie będą zwalczali krzywdy wyrządzane nam, przez władze państwowe, przez zorganizowanych i niezorganizowanych nieprzyjaciół narodowości naszej, krzywdy wyrządzane nam przez wielkich kapitalistów i ich urzędników.

Jako Polacy posłowie nasi będą mieli nietylko naturalne prawo, ale i obowiązek przystąpić *do Koła polskiego*. Ponieważ atoli nasze przedstawicielstwo narodowe obowiązuje przepis, że we wszystkich sprawach w razie różnicy zdań, mniejszość zastosować się musi do większości, a interesy ludu ślązkiego noszą w sprawach gospodarczych i zarobkowych po części odmienną cechę od interesów ludności Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Prus, dlatego Koło polskie przyznać musi posłom śląskim wolność w głosowaniu w sprawach wyżej wymienionych.

Rodacy! Zrobiliśmy początek. Przedsięwzięliśmy krok wielkiej doniosłości dziejowej, bo jest to pierwsza zbiorowa próba połączenia całego narodu polskiego w zaborze pruskim. Głos nasz niezawodnie doniosłem echem odezwie się po całej śląskiej krainie. *W każdej chacie rolniczej, w każdej izdebce robotniczej niechaj rozbrzmiewa hasło nasze:*

Wybierajmy swoich!

Wy wszyscy, co wam w piersiach bije serce polskie, połączcie się z nami do wspólnej pracy nad odrodzeniem naszem i stańcie się apostołami idei przez nas głoszonych.

Polskie Towarzystwo Wyborcze na Ślązk.

Katowice, dnia 17-go listopada 1902 r.“



Dział illustrowany.

W czterdziestą siódmą rocznicę zgonu.

Dzień 26-ty listopada 1855-go roku smutnie zapowiadał się w Konstantynopolu. Od rana mgła zaległa nad stolicą sułtanów. Z Polaków jednak w mieście zamieszkałych nikomu przez myśl nawet nie przeszło, że dzień ten będzie ostatnim dniem życia największego z naszych poetów.

Mickiewicz przybył do Konstantynopola dnia 27-go września. Październik był chłodny — i to głównie przyczyniło się do wywołania choroby, która prawie nagle śmiercią się zakończyła. Przed zimnem, które dokuczało twórcy „Pana Tadeusza,“ przeniósł się z klasztoru Lazarystów, gdzie pierwotnie zamieszkał, do domu pani Rudnickiej na przedmieściu Jeniszeri. Ale i ta kwatera nie była osobliwą. Armand Levy, towarzysz nieodstępny Mickiewicza w ostatnich dniach życia poety, w jednym z listów pisanych do Władysława Mickiewicza, wspomina o tem wyraźnie: „Ojciec twój pod gołem niebem nie był czułym na zimno, lecz lubił stancye mocno ogrzane, a mieszkania na Pera ogrzać nie mógł; oziębienie powietrza dawało mu się uczuć dotkliwie. Był wszakże raczej źle usposobiony, niż niedomagający. Nie miał o siebie żadnej obawy, środków zaradczych nie używał.“

Nietylko jednak sam poeta — nikt z otaczających go osób nie przypuszczał możliwości katastrofy tak blizkiej. W przeddzień śmierci poeta nasz był wesół — w nocy dopiero zasłabł. O dniu tym Levy skreślił następujące wspomnienie na żądanie syna: „Twój ojciec zjadł obiad ze smakiem: pieczone kurczę i pół butelki Bordeaux, a wcale dobry okazywał apetyt. Pracował potem pewien czas nad językiem tureckim, którego się począł pilnie uczyć. O 10-ej wieczorem poszedłem powiedzieć mu dobranoc. Potem przyszedł jeszcze do mnie, by mi przynieść, jak to codziennie czynił, drugie futro na noc. Czułem się sam bardzo cierpiącym. Około północy twój ojciec wstał, aby się napić herbaty. Postrzegłem to, ale byłem tak słabym, że odwróciłem się tylko na drugi bok, nie pomyślawszy przyjść mu z pomocą.“



Nazajutrz rano przyszedł dosyć wcześnie Henryk Służalski. Mickiewicz skarżył się przed nim, że noc spędził niespokojnie, nie zasypiając ani na chwilę. Pomimo mdłości, jakie mu dokuczały, nie tracił wesołego usposobienia. Gdy doń przystąpił Służalski z prośbą, aby język pokazał, Mickiewicz roześmiał się i odrzekł:

— Przypominasz mi mojego Józia, który w czasie choroby matki, do każdego, kto przyszedł do domu, mówił: „pokaż język.“

Pomimo to Służalski domagał się lekarza i zastosowania na razie jakich środków zaradczych. Mickiewicz ociągał się:

— Nie, nie!... Nie trzeba. To nic; to tylko żółć. Ot lepiej każcie mi zrobić kawy.

Przypadłości żółciowe istotnie dokuczały poecie, zwłaszcza od czasu śmierci żony, Celiny z Szymanowskich, zmarłej w tymże samym roku dnia 5-go marca. Levy, nie zwracając uwagi na opór Mickiewi-



Sarkofag ze zwłokami Adama Mickiewicza w Katedrze krakowskiej.

cza poszedł po doktora Drozdowskiego Na razie nie zastał go w domu.

Około południa przyszedł pułkownik Kuczyński. Mickiewicz długo z nim rozmawiał, przeplatając pogawędkę słowami pełnemi humoru.

— Kuczyński, wiesz — mówił — zacząłem się uczyć po turecku. Boję się tylko, aby się ze mną nie stało tak, jak z jednym z królów naszych, o którym kronika mówi, że już nieźle sylabizował, kiedy go śmierć zaskoczyła.

W południe znów powtórzyły się ataki mdłości. Mickiewicz położył się do łóżka i pod wpływem znużenia po nieprzespanej nocy, zasnął szybko; spał cztery godziny. Gdy się zbudził, zapytał Służalskiego, czy obiad gotów, poczem wstał, zażądał, by przyniesiono butelkę Bordeaux. Służalski ucieszony tym objawem apetytu, uważając go za wskazówkę, iż zdrowiu Mickiewicza nic nie grozi, wybiegł szybko, aby przyspieszyć obiad. Gdy jednak powrócił po upływie kwadransa, zastał Mickiewicza w łóżku. Gospodyni oznajmiła, iż zemdlał. Prawie w tejże samej chwili wszedł doktór Gębicki, uprzedzony przez Levyego o chorobie Mickiewicza. Chory tymczasem szybko wrócił do przytomności.

— Słabo mi. Czuję kurcze w żołądku. Ale to nic, to przejdzie.

Gębicki posłał po krople laudanowe do apteki. Zanim je przyniesiono, Mickiewicz głosem zupełnie przyciszonym skarżył się na straszne cierpienie. Pierwszy Gębicki dopiero zrozumiał niebezpieczeństwo, a obawę swą zwierzył Służalskiemu.

— Obym się mylił, ale zdaje mi się, że nie ma ratunku.

Służalski, kryjąc przerażenie, dodawał otuchy Mickiewiczowi. Na razie lekarstwo usunęło cierpienie gwałtowne. Ale ciało Mickiewicza zaczęło sztywnieć. Z wielkim trudem wyciągnął poeta rękę prawą i, wskazując na palce, rzekł cicho, spokojnie:

— Patrz, zgiąć ich nie mogę.

Zaczęto ogrzewać nogi wodą gorącą.

— Poślij po księdza Ławrynowicza — szepnął Mickiewicz do Służalskiego.

Ks. Ławrynowicz był to Żmudzin zacny, poczciwy. Cała kolonia polska w Konstantynopolu kochała go i szanowała.

Niebawem pokój, w którym Mickiewicz mieszkał od miesiąca, a który był równocześnie sypialnią, jadalnią i pracownią, zaczął się zaludniać. Jakby tknięci przeczuciem, a może przez kogo uprzedzeni, u łoża chorego poety znaleźli się doktorzy Drozdowski, Narkiewicz i Szostakowski. Zarządzono silne nacierania, okłady gorące, i laudanum jako lekarstwo. Doktorzy zadecydowaii, iż jest to objaw gwałtownej cholery, która podówczas grasowała w Konstantynopolu.

Mickiewicz nie tracił przytomności. Gdy go doktór Drozdowski nacierał, odezwał się cicho, z trudem, ale z uśmiechem:

— Oni mi skórę zedrą, jak pułkownikowi Idzikowskiemu. Ale mnie chyba nowa nie odrośnie.

Za chwilę przybył ks. Ławrynowicz a prawie równocześnie z nim Perkowski, Duchiński i Levy. Z ks. Ławrynowiczem Mickiewicz nie mógł już rozmawiać; nie miał siły. Kapłan poprzestał więc na udzieleniu mu ostatniego Sakramentu Namaszczenia.



Grobowiec ś p. Adama Mickiewicza i jego rodziny na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Mickiewicz ruchem głowy przywołał Służalskiego. Chciał mówić. Służalski zapytał, czy ma co powiedzieć dla dzieci:

— Niech się kochają... — wyszeptał z trudem, a po chwili dodał — zawsze!...

O godzinie 7-ej wieczorem zaczęło się konanie. W tę porę wszedł pułkownik Kuczyński. Mickiewicz poznał go:

— Kuczyński... kozacy otomańscy...

To były ostatnie słowa Mickiewicza.

Zebrani w pokoju, w liczbie jedenastu osób, otoczyli łoże umierającego. Niektórzy, przyklęknąwszy modlili się. Mickiewicz miał wyraz twarzy drzemiący, na pół uśmiechnięty, spokojny. Na kilka minut przed godziną 9-tą wieczorem wyzionął ducha. Wszyscy byli jakby przybici, wszystkich oczy zaszły łzami... on jeden opuszczał ten świat spokojny, uśmiechnięty.

Wieść o śmierci Mickiewicza szybko obiegła Konstantynopol i przeraziła mieszkających tam Polaków. Nikt nie spodziewał się tego ciosu. Widzieli przecież poetę parę dni temu zdrowym, pełnym energii. Zaniepokojeni w najwyższym stopniu, nie dowierzając jeszcze okropnej wiadomości, wszyscy spieszyli teraz na Jeniszeri, aby przekonać się o prawdzie. Tam dopiero wobec bolesnego widoku zniknąć musiały wszelkie wątpliwości. W mieszkaniu poety, na drzwiach wyjętych i położonych na dwóch krzesłach, pośród wysokich świec woskowych, leżał w czamarce twórca „Pana Tadeusza“. Zarzucony kwiatami, w ręku trzymał krucyfiks.

W tydzień później wywieziono zwłoki największego z poetów naszych do Paryża, gdzie złożono go na cmentarzu Montmorency. Spoczywały tam przez lat przeszło trzydzieści, aż wreszcie pochowano je w miejscu najgodniejszem, w podziemiach Wawelu.

I spoczął król pieśni śród królów narodu. I wypoczywa po burzach żywota, w ciszy i blasku wawelskich grobów, pod czujną strażą wdzięcznego ludu, który już wziął jego księgi do ręki, poznał ich treść i snuje mu wieniec nietylko „z modrych bławatków i zielonej ruty“, lecz i z przędzy swych myśli i z kwiecia uczuć serdecznych.

ski.



Śmierć pułkownika.

W głuchej puszczy przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze;
Wódz był to wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze,
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć;
Konia w każdej sławnego potrzebie,
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie,
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz, on chce jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się klęcząc przed progiem,

Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
zy ni jednej — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy,
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza,
Na pastuszym tapczanie on leży;
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica bohater,
Wódz powstańców: — Emilia Plater!

Adam Mickiewicz.

Półwiekowa żałobna rocznica.

(Do illustracyi.)

„Z krzyżem w ręku nad polskim górujący [ludem,
Starłeś go i podniosłeś Twego słowa cudem,
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
„Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą."

(Fr. Morawski.)



Śp. ks. Bołoz-Antoniewicz.

Dnia 14-go bm. upłynęło pół wieku od śmierci wielkiego męża i kapłana, ś. p. ks. Bołoza Karola Antoniewicza.

Ks. Bołoz Karol Antoniewicz urodził się w Galicyi 1807 r; pochodził z zamożnej rodziny ormiańskiej. Straciwszy ojca w dziecinnych latach, ukończył szkoły w 17 roku i wkrótce potem zaczął drukować swoje młodociane utwory w „Rozmaitościach Lwowskich." W 24 r. życia zaślubił Zofję Nikorowiczównę i osiadł w dziedzicznych dobrach Skwarzawy, w pow. Żółkiewskim. Straciwszy z kolei wszystkie pięcioro dziatek, a w końcu i ukochaną żonę, złamany nieszczęściem, wstąpił 1839 r. do zakonu księży Jezuitów i wkrótce zasłynął jako jeden z najcelniejszych tegoczesnych kaznodziejów. W r. 1846 podczas strasznych wypadków galicyjskich, wymową swoją przyczynił się wielce do uśmierzenia zbrodni rozhukanych tłumów, odbywając w tym celu misje, na które po kilkanaście tysięcy ludu się zbiegało. Te prace apostolskie osłabiły bardzo jego zdrowie. Po zniesieniu r. 1848 w Galicji Jezuitów, na wezwanie biskupa wrocławskiego, a następnie i poznańskiego, przeniósł prace apostolskie na Ślązk i do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, gdzie 4. listop. 1852, wraz z towarzyszami swymi objął wyznaczony im klasztor w Obrze. W dziesięć dni później, zszedłszy z ambony, dotknięty cholerą, umarł 14 listopada i pochowany został w grobach klasztornych. Z wielu pism ks. Antoniewicza tak wierszem, jak i prozą ważniejsze są: „Wspomnienia misyjne" (1849); „Listy w duchu Bożym do przyjaciół" (1850); „Czytania świąteczne dla ludu naszego" (1851): „Obrazki z życia ludu wiejskiego" (1850); „Przez krzyż do nieba" (1852); „Żłóbek, kolęda dla dzieci" (1857). Zresztą por. Estrejchera „Bibliografia" str. 32 — 35 i Pawickiego „Rysy z życia Antoniewicza" (Poznań, 1853), ks. Ign. Polkowskiego „Wspomnienie o życiu i pismach Karola B. Antoniewicza" (1861).

Z działalności kapłańskiej nieboszczyka w Wielkopolsce pamiętne są starszym pokoleniom jego misye, mianowicie w Niechanowie, Krobi i u Dominikanów w Poznaniu.

Służył cholerycznym w Kościanie i sam, jak wyżej wzmiankowaliśmy, strasznej epidemii padł ofiarą. Mąż prawdziwie apostolski, poeta i pisarz, nie tyle świetny, ile serdeczny i rzewny a zawsze Polak całą duszą, miłością Ojczyzny wstęp do serc s bie zdobywający. Pieśń jego do Matki Boskiej: „Nie opuszczaj nas", stała się od roku 1861, z muzyką filipinki Brzezińskiej, własnością całego narodu i sama stoi za pomnik trwały.

W pierwszą rocznicę śmierci ks. Antoniewicza, 14 listopada 1853 roku, odkryto pomnik, wzniesiony mu w kościele oberskim, gdzie spoczywają jego zwłoki.

– ski

Znakomity kapłan i literat.

(Z kartki żałobnej.)

(Do illustracyi).

W dniu 4-ym maja r. z. rozstał się z życiem biskup sandomierski, ks. Antoni Ksawery Sotkiewicz.

Urodzony dnia 13-go stycznia 1826 roku we wsi Bardo, powiatu dziś opatowskiego, wówczas sandomierskiego w Królestwie Polskiem, z ojca Jędrzeja i matki Ludwiki z Targowskich, nauki początkowe pobierał w domu rodziców. W roku 1835 wstąpił do szkoły powiatowej sandomierskiej, a w r. 1836 przeszedł do gimnazyum w Kielcach.

Wychowany bogobojnie, postanowił poświęcić się stanowi duchownemu i w r. 1842 wstąpił do seminaryum sandomierskiego. Zaliczony w poczet alumnów tegoż seminaryum, uczęszczał na lekcye w ubraniu świeckiem wraz z wieloma kolegami, których nie mógł pomieścić szczupły wówczas dom jednopiętrowy seminaryjski. Dopiero w roku 1844 włożył suknię duchowną i zamieszkał przy seminaryum, po ukończeniu którego przeszedł w r. 1846 do akademii duchownej w Warszawie i w niej przebywał do r. 1850, którą ukończył ze stopniem kandydata św. teol. Dnia 5-go sierpnia 1849 roku wyświęcony został na kapłana przez ówczesnego biskupa sandomierskiego, księdza Józefa Joachima Goldmana.



Biskup sandomierski
śp. ks. Antoni Ksawery Sotkiewicz.

W roku 1850 mianowany został nauczycielem religii w szkole powiatowej sandomierskiej, a jednocześnie był profesorem seminaryum duchownego w Sandomierzu. W roku 1852 przeniesiony do parafii Zbilutka, a po śmierci ks. biskupa Goldmana, gdy administratorem dyecezyi sandomierskiej został ks. Zwoliński w r. 1853, powołany na stanowisko wice-regensa seminaryum w Sandomierzu. W roku 1856 otrzymał probostwo w Słupi nowej i jednocześnie powołany został do konsystorza na assesora.

Mimo młodego wieku już niepospolity erudyta, teolog uczony i kanonista, zwracał na siebie powszechną uwagę. Kochany przez uczniów swoich, oddawał im najlepszą cząstkę samego sie-

bie. Znany z surowości w przestrzeganiu praw i przepisów, w r. 1856 obdarzony został godnością kanonika honorowego lubelskiego.

W roku 1860 nominowany profesorem zwyczajnym prawa kanonicznego w akademii warszawskiej rozpoczął wykłady w listopadzie tegoż roku i prowadził je do końca roku 1867, w którym akademia została zniesiona.

Działalność profesorska ks. biskupa Sotkiewicza należy do najdonioślejszych; udzielił on swej wiedzy długiemu szeregowi chlubnie znanych kapłanów.

W roku 1863 ks. Arcybiskup Felinski powołał go na członka konsystorza archidyecezyalnego i obdarzył godnością kanonika gremialnego kościoła metropolitalnego w Warszawie. W tymże roku zaczął wychodzić pod redakcyą ks. Nowodworskiego „Przegląd Katolicki", którego ks. biskup Sotkiewicz był współpracownikiem, a od r. 1864, po wyjeździe ks. Nowodworskiego do gubernii permskiej, objął kierunek pisma i był jego redaktorem do końca roku 1877 to jest do czasu objęcia zarządu archidyecezyą warszawską.

Pracując na niwie literackiej ks. biskup Sotkiewicz redagował wiele rozpraw naukowych i artykułów polemicznych w obronie religii, moralności i przepisów prawa kanonicznego, czem niemało przyczynił się do wzbogacenia polskiej literatury teologicznej.

W roku 1865 zrezygnowawszy z probostwa w Słupi, po zniesieniu Akademii duchownej w Warszawie, został bez środków utrzymania i zmuszony był zarabiać na chleb udzielaniem lekcyi na pensyach prywatnych.

W październiku r. 1877 objął zarząd archidyecezyi warszawskiej, i sprawował go z pożytkiem do dnia 15 marca 1883 r., w którym to dniu prekonizowany został na biskupa dyecezyi sandomierskiej; konsekracya odbyła się dnia 20 maja tegoż roku, a ingres uroczysty w następnym miesiącu. W sierpniu roku 1899 go obchodził jubileusz półwiekowej pracy kapłańskiej.

Wkrótce po objęciu dyecezyi zwrócił szczególną uwagę na wykład katechizmu dzieciom, uczęszczającym na naukę do kościoła. Zajął się również starszymi i w tym celu wydał rozporządzenie, na mocy którego w niedziele ks ks .proboszczowie obowiązani są po krótkim wykładzie ewangelii miewać nauki katechizmowe w ten sposób, ażeby w przeciągu lat 4-ch w każdej parafii wyłożonym był całokształt religii katolickiej.

Często zwiedzał kościoły, śledząc bacznie: o ile polecenia jego wykonywane są z całą pilnością, a prócz tego wydawał od czasu do czasu bardzo starannie opracowane i głęboko obmyślane listy pasterskie, w których kapłani czerpać mogli cenne wskazówki, jak należy postępować, chcąc stać wiernie pod sztandarem zasad religii katolickiej.

W Sandomierzu staraniem dostojnego jubilata, odznaczającego się znawstwem architektury, odnowioną została gruntownie świątynia katedralna i dobudowano do niej wieżę w stylu gotyckim.

Niezmordowany pasterz przez całe swe życie stał na swem wysokiem stanowisku otoczony miłością i powszechnym szacunkiem tak całego duchowieństwa jako też i wiernych owieczek dyecezyi. Wieść o śmierci ks. biskupa wywołała żal ogólny.

Z.

Myśli jesienne.

—*—

Widziałam w wiośnie drzewa życiem tryskające,
Jakoby w szczęściu całe, bo liści tysiące
I pączków wydawały; i jakieś radosne
W kwiaty się przystroiły, by powitać wiosnę.

I dumne nie zważały na wiatrów podmuchy,
Te drzewa w sile życia, to nie konar suchy.
Gdy w lecie razem z burzą szły wichrów szamoty
Schylały się na chwilę z żalu i tęsknoty,

Lecz sił swych nie straciły. Szła jesień ponura,
Silne wichry z nią biegły, zimnych deszczów chmura,
I poczęły się znęcać nad drzew krasą cudną
I wstrząsać ich gałęzie! Walka była trudną.

A choć się dzielnie drzewa wiatrom opierały,
Jednak wszystkie swe listki w walce postradały,
I jakoby zastygłe patrzą w przeszłość, — wiosnę,
I zrozumieć nie mogą, że żyły radosne.

. . . .

I człowieka w młodości nie zmogą ni boje,
Ni przeciwności losu, nieszczęścia, ni znoje,
Lecz zabierają zwolna wiarę w ideały,
I te drogie marzenia, co świat ozłacały.

Na starość zaś zostanie wspomnienie przeszłości,
Dawnych czynów, walk, starań i dawnych radości,
I to straszne poczucie dzisiejszej niemocy,
I mroźny uścisk zimy i wieczystej nocy.

Jadwiga Wyrybkowska.

S-ta Cecylia,

patronka muzyki.

(Do illustracyi albumowej.)

Św. Cecylia, której uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 22-go listopada, od wieków jest uważana za patronkę muzyki. Pod jej wezwaniem utworzyło się wiele stowarzyszeń muzycznych; malarze i rzeźbiarze wyobrażają zwykle tę świętą grającą na organach. Nie posiadamy jednak żadnego dowodu, by św. Cecylia oddawała się za życia sztuce muzycznej. Za patronkę muzyki obrano ją prawdopodobnie na podstawie słów jednej z antyfon nieszpornych: „Cantatibus organis Caecilia decantabat Domino" — „gdy grano Cecylia śpiewała Panu," przyczem *responsarinno*, dodaje: „W sercu śpiewała Panu." Śpiewała wedle tej antyfony: „niechaj ciało moje zostanie nieskalanem, abym nie była zawstydzona," wyrażając w ten sposób najgorętsze swoje życzenie.

Św. Cecylia pochodziła z patrycyuszowskiej rodziny rzymskiej. Chrzest św. przyjęła z rąk papieża Urbana I. Piękna i bogata dziewica od najwcześniejszej młodości ślubowała dozgonną czystość, rodzice jednak narzucili jej za małżonka Waleryana. Cecylia oświadczyła mężowi, że jest już zaślubioną innemu Oblubieńcowi i anioł stróż czuwa przy niej nieustannie. Słowa Cecylii uczyniły wielkie wrażenie na Waleryanie, z ciekawością słuchał opowiadań o Chrystusie i wkrótce chrzest przyjął.

Jako jeden z najgorliwszych wyznawców nowej wiary poniósł śmierć męczeńską, a niedługo później Cecylia zginęła także z rąk nieprzyjaciół. Pierwotnie miała być zaduszona parą, ale gdy cudem wyszła cało z tej kaźni, skazano ją na ścięcie.

Kat uderzał ją trzy razy — zadając ciężkie rany. Żyła jeszcze chwil kilka, pobłogosławiła cisnących się ku niej chrześcian, kazała rozdzielić swój majątek między ubogich, i prosiła, by dom jej zamieniono na świątynię. Stało się to w r. 176 lub 177. Ciało św. Cecylii pochowano w Rzymie w katakumbach św. Kaliksta, obok męża, a w 821 roku przeniesiono zwłoki do kościoła, pod jej wezwaniem zbudowanego na miejscu dawnego pałacu Cecylii. W kościele tym umieszczono piękny sarkofag z białego marmuru, dłuta Stefana Maderna, wyobrażający świętą tak jak jest złożona w trumnie i jak jej ciało nietknięte znaleziono w 6 wieków po śmierci.

* *

Różni malarze różnie malowali św. Cecylią.

Raz z palmą, innym razem z liliami białemi u boku, najczęściej gra na organach, śpiewając hymny religijne (psalmy Dawida), przyczem towarzyszą jej aniołki, same śpiewając, lub grając na jakichś instrumentach.

Na niektórych obrazach siedzi grająca przy zwykłych organach kościelnych — i taki jej wizerunek jest pono najbardziej rozpowszechniony u nas, jako odbitka z reprodukcyi sławnego płótna Carla Dolci, umieszczonego w galeryi drezdeńskiej, dokąd obraz ten dostał się swego czasu ze skarbca polskiego króla Augusta III.

Na innych śpiewa stojąc, z przenośnemi organkami w ręce. Tak też wygląda i na rozgłośnem arcydziele Rafaela w pinakotece bolońskiej, gdzie w towarzystwie świętych Pawła, Jana, Augustyna i Magdaleny, z oczyma, wzniesionemi ku niebu, łucha koncertu aniołów.

Ale niekiedy przedstawiono św. Cecylię grającą, zamiast na organach, na innym instrumencie. Jeden z malarzy użył tu np. wiolonczeli. W Paryżu zaś ,w muzeum w Luwrze, są aż dwa słynne obrazy, na których ta święta patronka śpiewając, akompaniuje sobie grą na harfie: jeden Dominiquina, drugi Piotra Magnarda; u tego ostatniego, obok harfy, leżą jeszcze inne instrumenty, jak gdyby dla uprzytomnienia widzom, iż patrzą na wizerunek niebiańskiej opiekunki muzyków i śpiewaków.

A jednak....

Rozpytujcie się o to wśród naszego ludu, który przecież lepiej od „inteligencyi“ wie i pamięta, kto z pomiędzy świętych jest czyim patronem — a mało gdzie spotkacie się z imieniem św. Cecylii.

Przechowuje się wprawdzie gdzieniegdzie wśród wieśniaków jakieś mgliste podanie — zdaje się, dotychczas nigdzie nie zanotowane — które słyszałem w ziemi krakowskiej, że św. Cecylia pierwsza zbudowała, według własnego pomysłu, organy. Stało się to mianowicie późną jesienią, kiedy świętobliwa dziewica zauważyła, że w przyrodzie, zamierającej na zimową porę, umilkły wszelkie głosy, chwalące Boga wiosną i latem (skrzydlate śpiewaki, szumy traw, zbóż, drzew i t. p.) — i po gorącej modlitwie, natchniona, sporządziła nieznany przedtem instrument dla kościoła, żeby można było na nim wygrywać zimą kolendy ku czci Pana Jezusa. Ona też pierwsza grywała na organach i wyuczyła kilku kościelnych w okolicy, jak się należy obchodzić z nowym instrumentem. Od owego czasu istnieją organy i organiści po kościołach; dawniej zaś tylko śpiewano przed ołtarzem i na chórze.

Tyle niekiedy chłopi krakowscy.

Ale spytajcie starych lirników, dudziarzy, kobziarzy, spytajcie ślepych grajków, nawet organistów po wsiach i miasteczkach — czy który z nich wie co o św. Cecylii, jako opiekunce swego zawodu....

A przecież mają oni swoich patronów.

Pewien organista wiejski, siwy już staruszek, mówił mi ,że patronem muzyki kościelnej jest św. Józef. On bowiem, po Wniebowstąpieniu Chrystusa, wzniósł własną pracą kościół z niebotyczną wieżą — i umieścił w nim na chórze organy, które zbudował, jak mu kazał we śnie archanioł Gabryel. Sam, ociemniawszy na starość, grywał na nich codzień w swym kościele aż do śmierci.

— Może tam świecka muzyka ma innego patrona — dodawał organista — nie wiem i nic mi do tego. Ja bo zawsze, wchodząc na chór, westchnę sobie przed graniem do św. Józefa, jako do naszego patrona, który wygrywał pierwszy na organach na chwałę Syna Maryi....

Inny organista znów utrzymywał, że muzyka ma patrona w osobie św. Antoniego, który pierwszy wyśpiewywał maleńkiemu Jezuskowi kolendy pobożne na wesołą nutę, przygrywając sobie na ręcznej harmonijce.

Jeszcze inny organista przyznawał słuszność poprzedniemu tylko pod względem muzyki kościelnej, co się zaś tyczy świeckiej, ta, podług niego, innego ma patrona, mianowicie św. Andrzeja, który miał zwyczaj kilka razy do roku zapraszać do siebie wielu gości na godziwą zabawę i przygrywał im wtedy do tańca na flecie; skoro wszakże goście jego przekroczyli miarę w zabawie, przestawał grać i prosił ich, żeby się upamiętali; kiedy zaś to nie pomogło, lał im na kark wosk przetopiony, a wtedy wszyscy zaraz zaczynali się modlić, przepraszając gospodarza.

Zdaniem jednego z kościelnych, który się w tej mierze powoływał na swego plebana nieboszczyka, bardziej od innych w takich sprawach świadomego, pierwszym wogóle organistą miał być św. Łukasz. Namalowawszy obraz Bogarodzicy, dziś cudami słynący na Jasnej Górze, Ewangelista ten miał przez sen widzenie. Oto ujrzał swój obraz, pełen blasku, umieszczony nad ołtarzem wspaniałego kościoła, w którym tłumy ludu modliły się kornie na kolanach. Nad głowami ludzkiemi unosiły się organy, zupełnie podobne do tych, jakie dziś bywają na chórze w świątyniach chrześciańskich. Na nich zaś grał on sam — św. Łukasz.... Przebudziwszy się, poszedł zaraz do kościoła i zaczął w nim szukać czegoś podobnego do sennego widzenia. Znalazł istotnie, nad wejściem, w górze organy. Dostał się do nich po drabinie, a kiedy się ich dotknął, cudowną usłyszał muzykę. Od tej chwili też grał zawsze na owym instrumencie w czasie nabożeństwa i jeszcze innych młodszych, a pragnieniem służby Bożej ożywionych, wyuczył na organistów.

Wspomniany powyżej pleban podobno mówił raz o tem nawet w kazaniu swojem do ludu — i uważał św. Łukasza za patrona muzyki religijnej, czy też wogóle muzyki.

Nikt zaś z organistów, których zdania poprzednio przytoczyłem, nie wiedział nawet o czci muzyków wykształconych ku św. Cecylii.

Wspomnę jeszcze i o tem, czyjej pomocy wzywają biedni grajkowie wędrowni, których oczy nie widzą ręki, rzucającej im do obdartego kapelusza grosze jałmużny.

Wszak znacie skrzypków, rzępolących smętnie i żałośnie pod kościołami, z odkrytą zawsze głową, na zimnie, czy na deszczu.... O takich tu mówię. I oni mają swego patrona.

Otóż według ich wierzenia, pierwsze skrzypki sporządził Pan Jezus... Spotkał raz ślepego żebraka, który z płaczem modlił się w lesie. Zapytał go o przyczynę łez i dowiedział się, że starzec chodzi od wsi do wsi i śpiewa Bogu i ludziom; od pewnego czasu jednak tak mu się głos postarzał, iż ludzie słuchają go niechętnie i nie chcą mu już dawać jałmużny.

Wtedy Pan Jezus na poczekaniu zrobił w lesie skrzypce i nauczył na nich grać żebraka, który odtąd, dla swej przedziwnej muzyki na nieznanym nikomu instrumencie, był chętnie witany wszędzie i złotem obsypywany w nagrodę.

Żeby podziękować Chrystusowi za to, ślepy grajek przyszedł pod krzyż, gdy na nim Zbawiciel umierał, i grał żałobnie. Wtedy Pan Jezus zabrał starca do nieba wraz ze skrzypkami, na których też tam wiecznie gra na chwałę Bożą.

Ci, którzy to opowiadają, uważają za patrona muzyki, lub też skrzypków, bądź samego Pana Jezusa, bądź też owego pierwszego skrzypka ciemnego, który w niebie gra Przenajświętszej Rodzinie.

A lirnicy wreszcie, dudziarze, starzy kobziarze wioskowi — mają wszyscy w niebie swą patronkę w osobie

Maryi ,Niebios Królowej, ponieważ — ich zdaniem — wszelka muzyka na ziemi istnieje dopiero od owego czasu, kiedy w chwili wniebowzięcia Jezusowej Matki zaczęły ku Jej czci śpiewać słowiki i skowronki, a ludzie od nich nauczyli się tej sztuki, żeby śpiewem i muzyką chwalić Pana....

* * *

Muzyka ogarnia coraz szersze masy i staje się coraz żywotniejszym pierwiastkiem kultury. Istnieją narody podatne do nastrojów poetyckich, uzdolnione do odbierania wrażeń barwy i światła, zamiłowane w jednym lub drugim objawie kulturalnym.

Lud nasz lubi muzykę, ale pozbawiony ucha, umiejącego rozłożyć akord pieśni nabożnej, śpiewa w kościele unisono, a w muzyce instrumentalnej posiłkuje się częstokroć żywiołem obcym. Przyczyna ogólna rysuje się bardzo wyraźnie: lud nasz nie bywa umuzykalniany u podstaw.

Jeżeli tedy kultura muzyczna ma wiele jeszcze do zdziałania w ramach szerokich, to liczba jednostek, pracujących w tym kierunku budzi nadzieję, że postęp ten nie ustanie w swym pochodzie. Naród jaśniejący imionami Chopina i Moniuszki, szczycący się w dziejach muzyki Gomółką, Lepolitą, Elsnerem, Kurpińskim, Dobrzyńskim, Zarzyckim, Kątskim, Wieniawskim, posiadający wszechświatową sławę wirtuozów w Paderewskim, Barcewiczu, Hofmanie, Śliwińskim, i t. d., może pochwalić się przed światem tak poważnym pocztem kompozytorów żyjących i w pełni sławy pracujących na polu twórczem, że spółczesna doba muzyczna uważaną być musi za najświetniejszą ilościowo w dziejach tonów naszej sztuki.

—ski.

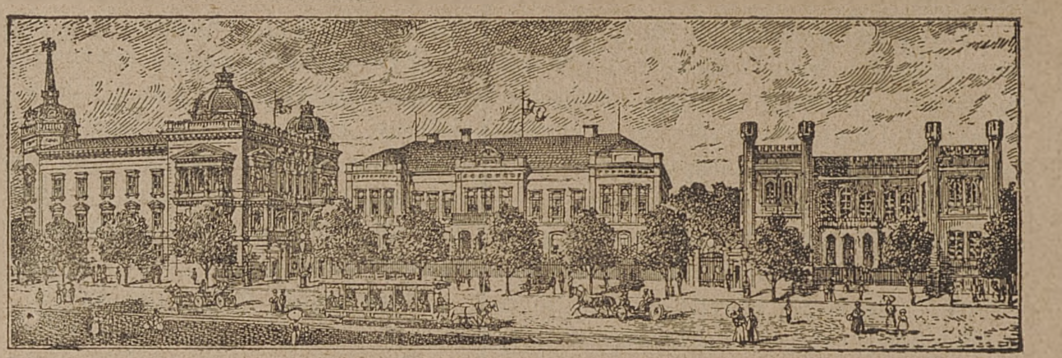
Muzyka.

W gwiazd złotych wieńcu nad anielską skronią,
Z oczyma we łzach i sercem z płomienia,
Trącając struny co echowo dzwonią,
Spływa muzyka: anioł ukojenia.

Znów świat się ducha wiosną zazielenia,
Niebiańskich tonów zaklęty harmonią, —
I szał rozpaczy w cichy żal się zmienia
I krwawe oczy łzy tęsknoty ronią.

Muzyko! duchów królowo i pani!
W ziejącej grozą życiowej otchłani,
Słoneczne iskry dobywasz z popiołów!

Błogosławiona twoja harfa złota,
Co czyste źródła umie czynić — z błota!
I ludzkie bestye przerabiać w aniołów! *Or-ot.*



Konak w Białogrodzie.

Awantury w konaku białogrodzkim.

(Do illustracyi.)

Awantury w rodzinie królewskiej serbskiej nie ustają, dzięki intrygom i wpływom małżonki króla Aleksandra. Królowa Draga sama już dzieci mieć nie może, więc żeby nie dopuścić kiedyś na tron serbski krewnych cara, książąt czarnogórskich, wpłynęła na słabego małżonka, ażeby ogłosił następcą tronu jej brata, młodego porucznika Liuniewicę. Posłuszny Aleksander



Królowa serbska Draga.

zwołał zebranie notablów i przedłożył im tę propozycyą. Lecz notable oparli się i propozycyi nie przyjęli. Co z tego wyniknie, nie wiadomo jeszcze. Ubolewać tylko można nad biednym ludem serbskim, że te wieczne awantury w rodzinie królewskiej tamują racyonalny jego rozwój.

Prócz awantur większych są też na porządku dziennym awanturki mniejsze, spowodowane głównie romansem pomiędzy młodszą siostrą królowej, a królem Aleksandrem. Szanowna para królewska podobno dlatego często się czubi, a awanturki nieraz przybierają formę skandalów, bynajmniej nie królewskich.

Istną ironią losu było też następujące wydarzenie zeszłoroczne:

Oto — naród do konaku (pałacu królewskiego) nadesłał ni mniej, ni więcej tylko... szesnaście kołysek. Tymczasem królowa Draga się pomyliła i nie ma kogo włożyć w te wspaniałe kołyski. Ale — w tym samym Belgradzie żyje sobie niejaki Atakuzenowic z żoną; zwyczajna para. Ci spodziewali się także potomka. Przygotowali jedną kołyskę. Kupili ją sami po długim namyśle za tanie pieniądze Przyszedł dzień uroczysty. I - oto zamiast jednego potomka pojawił się cały tłum potomków. Chłopcy, dziewczęta!... Cała czwórka; wyraźnie czwórka! trzy dziewczynki, i jeden chłopak. Biedny mąż ułożył to wszystko szeregiem na desce od prasowania i stał



Król serbski Aleksander

strasznie zafrasowany. Jedna kołyska i czworo dzieci! a tam w pałacu szesnaście kołysek i... ani jednego dziecka. Nie istna to ironia losu?

..ski.

„Jangin war!“

Szkic z życia w Konstantynopolu.

Światło księżyca kąpie ląd i morze w tajemniczem świetle srebrzystem. Pełnia odbija się w ciemnych głębiach wód majestatycznie płynącego Bosforu; wspaniałe budowle Aja-Sofii, sześć wysokich minaretów meczetu Achmeda, wieża saraskieratu i inne wznioślejsze budowle rzucają cień uroczy, wspaniały.

W górze cisza najzupełniejsza, czasami tylko zbudzi się nietoperz, zamieszkały w starych, może przeszło

tysiąc lat liczących murach i przebiega bez najmniejszego szelestu, jak gdyby chciał przyjrzeć się resztkom dawno zaginionej wielkości bizantyńskiej. Czasami tylko rozlega się żałosny głos puszczyka.

Na dole jednak, na ulicach wspaniałego miasta padyszacha, panuje jeszcze życie i ruch ożywiony. Gromady psów bezdomnych urządzają ciągle swe zwykłe koncerty, pomiędzy kawiarniami krążą najrozmaitszego gatunku muzykanci, grający na fletach, trąbkach, harfach lub harmonijkach i żałosnym głosem dopraszają się jałmużny. Gdzieniegdzie rozlega się śpiew greckiego palikara z towarzyszeniem mandoliny, wyglaszającego hymn na cześć swej ukochanej Marigo.

Powoli jednak życie ustaje, ruch milknie, gdyż miasto całe zabiera się do złożenia daniny rozdającemu spokój Morfeuszowi.

Coraz rzadziej słychać odgłos kroków przechodnia zapóźnionego. Zamilkli nawet „Kaimakli-Bundurma“ i „Tase-Simit,“ roznosiciele lodów i pieczywa, których głosy rozlegają się zwykle od wczesnego ranka do późnej nocy. I ci także spać się położyli.

Od czasu do czasu tylko rozlega się głośne stukanie kija o chodnik kamienny. To „bekczi,“ stróż nocny daje znać o swojem istnieniu i ostrzega amatorów cudzej własności, ażeby nie próbowali łowów, bo oko jego czuwa nad całością mienia obywateli Stambułu.

Ruchliwe miasto padyszachów pogrążyło się w śnie spokojnym.

Nagle na szczycie wieży Galata zabłysło światełko czerwone. To znak, że gdzieś wybuchł pożar. Z największą szybkością przebiega przez ulice stróż wartujący na czatowni, a odznaczający się czerwonym kaftanem, po którym zdala poznać go można, i biegnie dalej, aby wezwać na ratunek straż ogniową.

Za chwilę rozlega się miarowe, przejmujące wołanie — „Jangin war“ — pali się! Mieszkańcy przerażeni wyskakują z łóżek.

Jangin war! — woła jeden bekery do drugiego. Jangin war!... przebiega z ulicy na ulicę! I wnet całe miasto rozbrzmiewa strasznym okrzykiem budzącym przerażenie nawet w ludziach obdarzonych krwią zimną i odwagą. Wycie psów na rozmaite tony dodaje okrzykowi temu jakiś charakter dziki, wstrząsający najsilniejszemi nerwami.

I znów ruch budzi się na ulicach. W stronę pożaru biegną tłumy wiedzione ciekawością, między któremi znajduje się nie jeden złodziej, cieszący się nadzieją łupu, o który łatwo wśród ogólnego zamięszania.

W krótce rozlegają się krzykliwe trąbki straży ogniowej, urządzonej na wzór europejski przez hr. Edmunda Szecheni paszę. W ślad za strażą biegną gromadkami „tulumbadżi,“ niby straż ochotnicza. W czasie pożaru stanowią oni żywioł najstraszniejszy, nie niosąc bowiem pomocy, sieją wszędzie przestrach i zamięszanie.

Na poły nadzy, ubrani w białe spodnie szerokie, boso, z głowami odkrytemi, uzbrojeni w topory, haki i małe ręczne sikawki (tulumba), pędzą wołając: warda, warda! (uwaga!), popychają, rozbijają tłumy, niby horda dzikich, krwi chciwych Azyatów. Widok ich mimowoli przywodzi na myśl przerażające sceny najść barbarzyńskich w odległych czasach i miejscach.

Biada temu kto im na czas z drogi nie zejdzie!... chcąc nie chcąc, musi biedz razem z nimi, inaczej bowiem narazi się na to, że go wywrócą i zdepczą nogami.

Biada nieszczęśliwym, którym ta dzika horda śpieszy na pomoc!... Tulumbadżi odznaczają się wprawdzie nadzwyczajną zręcznością i nieustraszoną odwagą, uważają sobie jednak za większy obowiązek kraść, co się zdarzy podczas pożaru, aniżeli go gasić.

Często też zdarza się, iż właściciel płonącego domu zamyka drzwi i okiennice, aby nie wpuścić do wnętrza tulumbadżich, woli bowiem mienie swe puścić z dymem, aniżeli im na łup oddać. Z płomieni można przynajmniej życie uratować, gdy zaś kto chce bronić swego mienia przed chciwością tulumbadżich, ten naraża się nieraz na rozbicie głowy toporem, bo i to się często zdarza.

Dookoła miejsca pożaru zbiera się olbrzymi tłum narodu. Turcy, Ormianie, Grecy, Spaniole (tak nazywają tu żydów hiszpańskich), cisną się jeden na drugiego, krzyczą, wyją jak opętani.

Języki płomienne z przerażającą szybkością szerzą spustoszenie. Tu wśród huku rozpada się dom cały rozsypując w około miliardy iskier, tam zdradziecki płomień obejmuje swemi ramiony wspaniały meczet, ogień przerzuca się z budynku na budynek, znajdując w ścianach drewnianych żywioł dla siebie podatny.

I wnet cała dzielnica przemienia się w morze płomieni, odbijających się blaskiem migotliwym na kaskach straży, na twarzach ludzi zrozpaczonych, którzy w pożodze stracili cały dobytek, wreszcie na nagich ciałach tulumbadżich, którzy wciąż się uwijają, roztrącają tłumy, wrzeszczą i wyją.

Olbrzymie pożary, trawiące całe dzielnice, nie są w Konstantynopolu rzadkością. W r. 1759-ym dwie trzecie części Stambułu zamienił ogień w gruzy i popiół. Spaliło się naówczas 80,000 domów. W nowszych czasach pożar w r. 1870-ym strawił 9,000 domów i przyprawił 2,000 ludzi o utratę życia.

Z.

Pieśń z wieży.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i w oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzewiała krata?
Gdzie łza upadnie w zimny głaz przecieka:
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany,
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany,
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, noce bez marzenia;
Spokojność, nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mnie z bliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki!
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wie-
[dział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie...
Ach, ja wierzyłam... bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach!

Krzyż na twych piersiach, oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło...
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!...
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję...

Adam Mickiewicz.

Czarna dola.

Z tematów emigracyjnych

przez

Leokadyę Wierusz-Kowalską.

(Dokończenie.)

Zbliżył się do stojącego na uboczu murzyna, który nieraz nalegał i prosił go, by mu dzieci odstąpił — nie w charakterze niewolników, bo handel ludźmi nie istnieje w Brazylii.

Murzyn był ożeniony z Europejką, a że nie miał dzieci, przeto Stachowe chciał przyjąć za swoje — przy świadkach... legalnie...

Za chwilę ściskał milrejsy w dłoni... jeszcze brakowało coś do umówionej sumy, lecz okręt dawał hasło do wsiadania...

Ucałował dzieci... zrobił krzyż nad ich głowami... I skoczył do łodzi, która już ostatnia od brzegu ku okrętowi dążyła.

Murzyn, odtrącił szorstko *sieroty*, czepiające się nóg ojca z krzykiem i płaczem, później porwał żywy swój towar za włosy i rzucił na ziemię... W ten sposób nowy nabywca Niwiakowych dzieci, karcił ich miłość do nieszczęsnego rodzica... którego nigdy, nigdy — nie ujrzą już, — bo on nie ma do nich żadnego prawa... tylko nowy *opiekun*, nowy *ojciec*...

Stach ledwie został przyjęty na okręt. Chętnie zabierają wieśniaków do Brazylii, lecz z powrotem to trudna sprawa.

Spojrzał z pokładu na wijące się ze strachu i żalu dzieciny, lecz ich płacz i krzyk rozpaczliwy nie doleciał już do uszów jego...

Oddalał się coraz bardziej od swoich *biedaków*... które malały... aż w końcu zniknęły z jego oczu, lecz nie z serca...

Jęknął ciężko. Ocierał łzy rękawami kapoty i szeptał:

— Biedne moje sieroty... moja krew!.. Kupił je murzyn, by później mieć bydlę do pracy...

Dusza jego płakała piekącemi łzami — ból i żal bezbrzeżny za istotami, którym dał życie, targał, szarpał, kąsał na miazgę jego struchlałe serce...

Nie mógł tego stłumić, nie mógł przezwyciężyć... chciał się rzucić w wodę... Za ten obłęd szału, boleści i rozpaczy został związany i rzucony na spód okrętu.

Niedawno przebyta, a nie wyleczona choroba schwyciła go z nową siłą. Walczył ze śmiercią podczas podróży; było to niejako szczęściem dla nieboraka, bo nie czuł swej twardej, czarnej doli...

Nareszcie Brema...

Natura odporna Stacha przemogła chorobę. Wstał, lecz prawie nie ten sam...

Chwiejącym krokiem: chudy, żółty zbolały na duszy i ciele, obdarty... jednak dostał się do miasta.. do którego niegdyś wjeżdżał z żoną i pięciorgiem dzieci. ..Gdzie oni?.. Ci ukochani!..

Och! on tu nie umrze!.. On tu nie może umierać!.. Tu nie jego ziemia... tu nie jego cmentarz... Więc wlókł się do kraju. Wyszedł z niego dorodny, młody, silny, bogaty stosunkowo — a wraca łachmaniarz — nie ten sam, chory, zbolały — nędzarz, złamany zupełnie...

Wszystko utracił, co miał najdroższego i najmilszego w życiu... Dziś chce tylko mogiły wśród swoich — okupił ją krwią własną...

— Boże, Boże, dodaj mi siły błaga żebrak ubogi — bylem tam pomarł... Na obczyźnie poznałem, jak jest drogi, święty mój kąt rodzinny. Och! nie dojdę... nie dojdę... nie mam siły... Panienko Częstochowska za męki, jakie poniosłem... i ponoszę... pozwól mi spocząć tam... kędy pragnie znękana dusza moja. Pieścił się myślą, marząc o trumnie sosnowej... o własnej mogile — wśród swoich...

Zbierał siły i szedł... szedł...

Sądził znów, że sam widok jego rodzinnej wioski, uzdrowi mu serce i ducha, że zapomni przebytych ran, bo myśl ukołysze błogo, kojąco tchnienie macierzystej ziemi. Lecz czy ją zobaczy?... Jednak wlókł się dalej o żebraczym chlebie.

Już niedługo... już niedaleko...

Łzami zalały się oczy... drżał cały... ręce wyciągnął w górę i ile sił w piersi krzyknął:

— Boże! to Zagrodów!... — padł na ziemię, tarzał się w pyle i całował drobny proch, co wargi mu brudził. — O, Jezu! dzięki Tobie! za siły... za łaskę... Daruj mi, Panie, żem porzucił ojcowiznę moją, którą więcej miłuję. niż rodzinę... niż własną krew...

Lecz co to on widzi?... Procesya!...

To dzień zaduszny?... Idzie ksiądz proboszcz sędziwy i prosi Boga modlitwą i śpiewem za zmarłe duszyczki, ale tak serdecznie błaga, tak pokornie, że Ten Ojciec Najwyższy pewnie im dzisiaj winy przebaczy, niebo otworzy złociste; za kapłanem powtarzają ludzie słowa pieśni świętej.

Niosą wianki i świece, by ze szczerą modlitwą i to swym ukochanym zmarłym ofiarować, ustroić ich groby w zieleń, kwiaty i światło, a łzą wspomnienia zrosić drogą sercu mogiłę.

— Czemuż Maryna tu nie umarła? — pytał siebie z westchnieniem.

Chorągwie niosą, świece płoną — płomyczki wznoszą się w górę i barwnie migocą.

Niwiak nie wie, co się z nim dzieje. Płacze, jak dziecię...

Dziwne uczucie, tłumiące przebytą boleść rozsadza mu piersi. Czuje jakąś niewytłómaczoną dumę: że ten śpiew — to kapłana, który grzebał jego rodziców, dawał mu ślub; że ci ludzie — to jego krewni, kumowie, znajomi — to jego współbracia. A ta ziemia, to matka jego — i tych, których tu widzi.

Wyższa jakaś siła dodaje Stachowi mocy — każe zapomnieć o czarnej przeszłości... Dąży z procesyą na cmentarz i miesza swój cichy, słaby głos do pieśni błagalnych za umarłych.

Ksiądz proboszcz wygłosił piękną, czułą mowę, a ludzie płakali szczerze, każdy miał kogoś na mogiłkach, w końcu kazał się modlić za wszystkie dusze znajomych, krewnych, opuszczonych, bądź tu — bądź zmarłych na obczyźnie.

Niwiakowi ta modlitwa przypomniała zmarłą żonę, a z nią minione troski kamienne... i męki piekielne... Począł głośno, żarliwie mówić pacierze, płakać i skarżyć się na czarną dolę. Zapomniał, gdzie się znajduje, nie widział ludzi przy sobie — aż gorycz cierpienia zgryzła go, struła — i... zemdlał na grobie.

Był długo nieprzytomny — chorował ciężko.

Przyszedłszy do siebie, sądził, że jest w Brazylii... Na dźwięk swojskiej mowy płakał po dziecinnemu — wierzyć nie chciał, ledwie go zdołano przekonać, że się znajduje w oficynie folwarcznej, w Zagrodowie.

Z cmentarza, gdy zasłabł, państwo ze dworu kazali go tu przywieźć: sprowadzili lekarza, odżywiali; sama pani doglądała chorego.

Wyzdrowiał.

Przy opowiadaniu okrutnej swej doli dopiero ludzie poznali Niwiaka, tak dalece był mizerny i zmieniony?

Krewni i znajomi płakali nad jego ciernistym, krwawym losem. Każdy z nich odrzekał się wyjazdu do Brazylii i czuł się szczęśliwym, że jest wśród swoich.

Państwo ze dworu, litując się nad

Stachem, zostawili go u siebie w służbie...

Był posłuszny, pracowity, lecz zawsze smutny i milczący; często spotykano łzy w jego zagasłych oczach — te biedne oczy widziały wiele, bardzo wiele nieszczęść swych ukochanych; wyblakły więc, straciły barwę i życie...

V.

Za pierwszy zapracowany grosz sprawił mszę świętą za duszę Maryny i Hanki. Cały czas leżał krzyżem, modlił się serdecznie, błagając dla nich o zbawienie. Z Maryną rozmawiał, jakby z żywą:

— Widzisz?... nasz własny proboszcz modli się za twoją i Hanki duszyczkę: organy grają,świece się palą, ja i ludzie z całej wsi modlimy się za was: wszystko ładnie, po Bożemu.

Pan Jezus nas wysłucha i zbawi ciebie, Hanka, choć zgrzeszyłaś, lecz młodzieńka... biedactwo!...

Może Bóg jej odpuści winę... Maryna, Maryna — szeptał dalej z bojaźnią i wstydem — jam zbrodniarz... jam zabójca... Ty wiesz?... Sprzedałem Janka i Marysię...

Chudaki nasze kochane na obczyźnie... u murzynów: bite i głodzone, jęknął ciężko — kamień na duszy i sercu mojem!...

Maryna, proś świętej Panienki niech mi to odpuści... i ty daruj... żem te najmilsze nasze oddał na pastwę...

Przebacz mi i za dolę swoją...

A niech się twoja duszyczka tą mszą świętą ucieszy... Jak znów grosza uzbieram, to sprawię drugą, tylko ty mi nie pamiętaj win moich...

Nietylko w kościele, lecz i przy pracy wiódł często podobne rozmowy ze swoją nieboszczką.

Upłynął czas jakiś. Naraz rozeszła się wiadomość, że Moryśkiewicz, znów się pojawił w okolicy: że bałamuci głupich ludzi i namawia, jak niegdyś, do opuszczenia kraju.

Niwiak słysząc to, krzyknął:

— Przeklęty!!... Lepiej niech tu obedrze, okradnie, zabije, niż tam na męki lub śmierć ma kogo namawiać, wysyłać... — a po cichu szeptał — za naszą czarną dolę śmierć, śmierć jego! I pod ziemią go znajdę!...

Na drugi dzień, Niwiak do roboty nie przyszedł. Karbowy dziwił się temu bardzo, ponieważ on był zawsze do pracy najpierwszy. Lecz i następnego dnia także się nie pokazał i we wsi go nie było...

A Stanisław?...

Nie jadł, nie pił, nie spał, jak potępieniec błądził po polach, po lasach, po drogach i szukał Moryśkiewicza.

Nareszcie, choć w maluczkiej części pomści swą ciężką, mogilną, bezpowrotną krzywdę na sprawcy wszystkich swoich cierpień.

W myśli Niwiaka przesuwały się tylko kolejno straszne, ponure obrazy.. minionej przeszłości. W lesie, przez który szedł, było zielono: sosny puszczały młode igiełki, napełniając wonią bór cały; ptaszęta świergotały radośnie; żółty piasek był ciepły, a trawa na polankach, jak puch miękka. Na jej kwiecistym, szmaragdowym kobiercu spostrzegł Niwiak leżącego człowieka. Odpoczywał lub spał.

— Czy mnie oczy mylą? Nie? To Moryśkiewicz!... — w jednej chwili skoczył ku niemu i schwycił za gardło.

— Nareszcie mam cię, mam!... Zabójco mej żony i dzieci!...

Naganiacz chciał się wyrwać, lecz chłop trzymał jak kleszczami.

— Śmierć tu twoja, zbóju! Zapłacisz mi za wszystkich krwawą dolę...

Moryśkiewicz zdołał wyszeptać:

— Przebacz!... Ja nie chcę umierać... ja mam dzieci...

Niwiak sfolgował uścisk... pobladł więcej i zaczął surowo:

— I ja miałem dzieci!... Z całej partyi, jaką odprowadziłeś do Bremy — ja jeden tylko żyję... tamtych głód, choroba, woda, słońce i dzikie zwierzęta pożarły...

— Nie miejcie mi za złe, panie gospodarzu... lecz ja za każdą sprowadzoną do Brazylii rodzinę biorę po pięć rubli... to mój zarobek. Przecież żyć trzeba. Namawiam, bo mam w tem zysk... Mądry nie słucha, a łatwowierny, głupi, jedzie... lecz nie skoczy w ogień, w wodę, choćby go nie wiem jak namawiał — tak i tu wolna wola, — jam nie winien...

— To też żebyś takich głupich nie znalazł znów, nie tumanił — zabiję cię!...

Moryśkiewicz począł go błagać.

Naraz Niwiak krzyknął:

— Cicho! nie proś mnie! bo i tak choćbyś nie błagał, nie zabiję cię! Nie, nie!... Ja za swoją zaprzedaną własną krew... jestem na tej świętej ziemi i miałbym ją zanieczyszczać, brudzić — twoją farbą plugawą?... Nigdy! Nigdy!...

Stach powrócił do pracy. Na zapytanie, gdzie był — milczał uparcie.

W parę znów dni zaczął się wałęsać, a spotkawszy ludzi rozpowiadał.

— Hanka idzie za mąż, Maryna wraca z dziećmi... będą mieszkać w dawnej chacie... bo najlepiej na własnej ziemi.

Biedak, niedola go zmogła i rozum postradał...

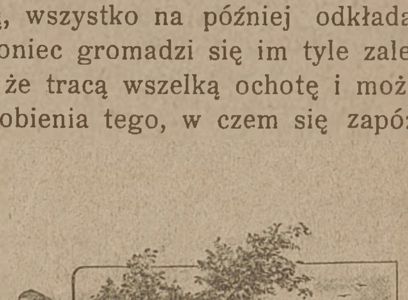
KONIEC.

Z skarbnicy życia.

Prawdziwie wykształcony nie potrzebuje koniecznie być człowiekiem rozległej wiedzy. Wiedza o tyle tylko ma znaczenie, o ile do uszlachetnienia serca się przyczynia i ma się do rzeczywistego wykształcenia tak, jak środek do celu. Gdy o kim mówimy, że jest „wykształconym“ człowiekiem, to przez to w gruncie nie bogatego w wiadomości, lecz przez wiadomości do wysokiego stopnia uzacnienia charakteru podniesionego człowieka rozumiemy. Im więcej wykształcenie zyskuje przez wiedzę, tem więcej cenić ją należy. Lecz tylko rzeczywista wiedza może uszlachetnić. Przez rzeczywistą wiedzę, pod moralnym względem pojętą, rozumiemy harmonią między umieniem jakiej rzeczy i jej czystem uczuciem, czyli między rozumem i uczuciem.

* * *

Każdą pracę można ułatwić i przyśpieszyć z pomocą metody, czyli dzięki wykonywaniu danych czynności według obmyślanego planu; skoro bowiem dokona się wszystkiego według należytego porządku, to naturalnie można pracować szybciej, a skutkiem tego i więcej. Jednego z ministrów francuzkich, który z czynnościami swemi załatwiał się zawsze codziennie, tj. nie miał żadnych prac zaległych, i który nadto miał jeszcze czas uczęszczać regularnie na zabawy, zapytano, w jaki sposób sztuki tej dokazać może, w jaki sposób zdoła godzić swoją pracę z zabawą. „Rzecz to bardzo łatwa do wytłomaczenia — odpowiedział — nie odraczam nigdy do jutra czynności, którą należy dzisiaj załatwić.“ Znajduje się jednak wielu, którzy przeciwnie postępują, wszystko na później odkładają i nakoniec gromadzi się im tyle zaległości, że tracą wszelką ochotę i możność wyrobienia tego, w czem się zapóźnili.



Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

22) Tłomaczyła P. Otrys.

(Przedruk wzbroniony.)

(Dokończenie.)

— Moja na wieki! — szepnąłem, obejmując jej postać.

Dorożkarz jechał prędko, jak gdyby chciał się nas jaknajprędzej pozbyć, i w krótce stanęliśmy na miejscu. Pomogłem Ninie wysiąść i zapłaciłem dorożkarza.

— Nie ma on tu na nas zaczekać, — rzekła Nina.

— Nie, wrócimy potem inną drogą. Pójdź!

— Daleko jeszcze?

— Pięć minut. Zimno ci?

— Trochę.

I otuliła się mocniej kosztownem futrem.

W świetle księżyca ukazały nam się teraz białe nagrobki na cmentarzu i Nina krzyknęła przerażona.

— Na Boga! Gdzież my jesteśmy?

W życiu swojem nie była ona jeszcze na cmentarzu.

— Tam, gdzie są ukryte moje skarby, — odpowiedziałem ochrypłym głosem. — Pójdź, nie lękaj się niczego!

Nina milczała i szła ze mną — przez groby, trawniki, zwiędłe kwiaty — aż do grobowca moich przodków.

Co się w duszy jej działo, nie wiem — ale ręka jej, którą trzymałem, drżała silnie i była zimną, jak lód.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Księżyc skrył się za chmurę i ciemno było teraz na cmentarzu.

Otworzyłem drzwi grobowca, Nina chciała mi wydrzeć rękę, ale przytrzymałem ją silnie.

— Gdzie ty mnie prowadzisz? Boję się! — szepnęła drżącym głosem.

— Dlaczego? Dlatego, że tu ciemno? Zapalę zaraz świecę, — i ku memu własnemu zdziwieniu zacząłem się głośno śmiać. — Nie bój się, pójdź dalej!

Podniosłem ją jak dziecko i zeszedłem ze schodów — potem zamknąłem drzwi na klucz i znowu się roześmiałem. Nina rzuciła się ku mnie i schwyciła moje ręce.

— Czemu się śmiejesz! — zawołała. — Ja umieram ze strachu!

— Gdzie my wogóle jesteśmy? Gdzie światło? — pytała wylękniona.

Zamiast odpowiedzieć, wyjąłem zapałki i zapaliłem sześć świec, które poprzedniej nocy tu powstawiałem. Nina obejrzała się w około i zakryła twarz rękami.

— Boże! — krzyknęła przeraźliwie, — wszakże jesteśmy w jakimś grobowcu! Uciekajmy! Prędko! Pozwól mi wracać do domu! Ja tu niechcę być!

Ja ciągle milczałem.

— O, żałuję bardzo! Ale nasza wycieczka świetnie się udała, nieprawda?

— Cezary przemów słowo! — prosiła składając ręce, — co ci jest? Czemu przyprowadziłeś mnie tutaj? Przemów słowo, na Boga!

I rozpaczliwie płakać zaczęła.

— Cicho, — rzekłem szorstko, — tu nie jest miejsce na histeryczne napady! Pomyśl, gdzie jesteś! Znajdujemy się rzeczywiście w grobowcu — w twoim własnym — bo to grobowiec familii Romani!

Nina płakała, głośne łkanie wstrząsało całem jej ciałem.

— Tu, — mówiłem dalej, — spoczywają przodkowie twego Fabia, i ty spoczniesz tutaj! Tu pochowano przed sześcioma miesiącami Fabia.....

Jak skamieniała patrzała teraz na mnie. Postanowiłem umęczyć podłą jej duszę aż do ostateczności.

— Czy zmysły straciłeś Cezary? — szepnęła po chwili.

— Nie!

Teraz zbliżyła się do mnie i ujęła moją rękę.

— Pójdź, — rzekła, — ja nie chcę już twoich skarbów!

Ale teraz pociągnąłem ją do rozbitej trumny.

— Patrz! — zawołałem, — obejrzyj to sobie dokładnie! Jest to prosta trumna — jaki zaś na niej napis?

— Fabio Romani! — Ale czemu trumna jest próżną? Gdzie umarły?

Nina zachwiała się i upadła na kolana.

— Gdzie umarły? — powtórzyła machinalnie.

— Tak, gdzie jest ten biedny szaleniec, — krzyknąłem teraz groźnie, — którego żona podle oszukiwała i zdradzała? Gdzie on jest? Otóż stoi tu przed tobą! Przyrzekłem, że pokażę ci się w mej prawdziwej postaci — że stanę się dziś młodym — patrz na mnie Nino, po raz drugi zaślubiona mi żono! Poznajesz mnie?

Odrzuciłem płaszcz i stanąłem przed nią.

Twarz Niny posiniała, oczy zaś nienaturalnego nabrały blasku.

— Nie! — jękła, — nie — to być nie może! Fabio — nie żyje! Tyś oszalał! — To żarty! Tak, żarty!

Ale patrzała na mnie ciągle i przerażenie jej z każdą wzmagało się chwilą.

Zbliżyłem się do niej — skoro jednak uczuła dotknięcie mej ręki, zerwała się szybko i odskoczyła na bok.

Potem załamała ręce z rozpaczą i znowu płakać zaczęła.

— Poznajesz mnie nareszcie? — zawołałem. — Zmieniłem się wprawdzie trochę, czarne moje włosy posiwiały w trumnie — to samo i ciebie czeka! Ale cieszę się, że mnie poznałaś!

— Nie, nie, to niemożliwe! To omyłka! Żarty, — powtarzała bezmyślnie.

— Słuchaj, — rzekłem poważnie, — Bóg mi świadkiem, że milczałem dosyć długo, i że teraz mam prawo mówienia. Myślałaś, że umarłem, i czułaś się bardzo szczęśliwą! Tylko, że mnie żywcem pogrzebano i.....

Nina cofała się przedemną, nareszcie oparła się o mur i patrzała na mnie jak nieprzytomna.

— I zmartwychwstałem! Miałem jeszcze dosyć siły, aby trumnę rozbić. Możesz ty sobie wyobrazić, jak to jest, obudzić się zamkniętym w trumnie?

— Kłamstwo! — krzyknęła. — Kłamstwo! Fabio. —

— Wiesz, że ja nigdy nie kłamię! Po rozbiciu trumny znalazłem przypadkiem wyjście z tego grobowca, inaczej byłbym tu umarł z głodu i pragnienia. Szkoda, nieprawda?

Usta Niny poruszyły się, ale mówić nie mogła.

— Nie, nie! — zawołała teraz, rzucając się na kolana. — Łaski, łaski! Wyprowadź mnie ztąd! Tyś jest Fabio, mój mąż ukochany! Dziś jeszcze mówiłeś mi, że mnie kochasz! Nie zabijaj mnie! Czemu jeszcze raz wziąłeś ślub ze mną? Ach, rozumiem! Nie zabijaj mnie Fabio, ja się tak boję!

— Wstań, — rzekłem krótko.

Nina podniosła się.

— I nie przywitasz mnie teraz? Nie cieszysz się, że twój mąż żyje? — zawołałem szyderczo. — Cóż, niepocieszona wdowo, nie cieszysz się wcale? Słuchaj dalej! Po wyjściu z grobowca spieszyłem do domu, ale miejsce moje było już zajęte!

— Ach!

— Gwidon zastępował mnie! Podsłuchałem waszą rozmowę w alei, wieczorem — i dowiedziałem się, że w trzy miesiące po ślubie, już ci mąż nie wystarczał, że już miałaś kochanka — mego najlepszego przyjaciela! Postanowiłem wtedy zemścić się! Odegrałem komedyą, której koniec obecnie się odbywa! Smutna to komedya!

Nina przestała teraz płakać i przeszła milcząc, na drugą stronę grobowca. Wiedziałem, do czego ona zmierza, udawałem jednak, że nie zwracam na nią uwagi. Usiadłem na mej trumnie, i podparłem głowę na rękach. Ona tymczasem posuwała się coraz dalej, i nagle, jednym skokiem rzuciła się na schody — ku drzwiom. I szarpała je swemi drobnemi rękami, krzycząc głośno o pomoc, ale wszystko to było naturalnie daremne! Potem wróciła znowu do mnie.

— Morderco! — wołała — otwórz mi drzwi! — Nie-

nawidzę cię, i nienawidziłam zawsze! Otwórz drzwi! Nie masz prawa zabijania mnie!

— Przeciwnie, mam prawo! Ukarzę wiarolomną żonę tak samo, jak ukarałem jej kochanka! Jeżeli zabiłem jego i ciebie...... —

— Mnie nie zabijaj! — błagała z dziko błyszczącemi oczami, — ja chcę żyć jeszcze! Jestem przecież taka młoda.

— Gwidon był też młody i umarł z twego powodu! Mnie również zamordowałaś moralnie! Kara musi być! Cieszyłaś się, gdy umarł — teraz ja cieszyć się będę twoją śmiercią! Ty zasłużyłaś nie raz, ale dwadzieścia razy na śmierć. Za Gwidona, Stellę — za mnie — ach, ty najpodlejsza z kobiet!

— Nie jestem gorszą, niż inne, — rzekła zuchwale.

— Hańba dla ciebie, że się w ten sposób o kobietach wyrażasz!

— Nie moja wina, że się mężczyznom podobam! Gwidon kochał mnie — ty także. — Ja zaś sobie z was obydwóch nic nie robiłam!

— Wiem niestety. Ale bądź co bądź — zostaniesz ukaraną!

Nina usiadła na jakimś kamieniu i nie spuszczała oka ze mnie.

— Stella i Gwidon, — mówiłem dalej, poznali mnie w godzinie śmierci. Otóż tu jeszcze dowody mej tożsamości, — dodałem, rzucając jej na kolana przedmioty, które zabrałem z sobą. — Weź ten krzyż — mnich dał mi go do trumny, może i tobie będzie wnet potrzebny!

— Jakim sposobem wydobyłeś się z grobowca? — rzekła nagle, nie zważając wcale na moje słowa.

Odgadłem jej myśli i rozśmiałem się.

— O to nie chodzi! Przejście mocno zamurowane, —zawołałem.

— Fabio! — krzyknęła po chwili, rzucając się przedemną i obejmując moje kolana, — pozwól mi wyjść ztąd! Rozgłoś moją hańbę przed całym światem, rób co chcesz, ale pozwól mi żyć!

— Nie! Zostaniesz tu i możesz czytać twoje czułe listy, pisane do Gwidona po zaręczeniu się ze mną! Najpierw oszukałaś Fabia, potem chciałaś oszukać twojego drugiego męża — na co zasługuje taka kobieta?

Nina milczała.

Zdjąłem jej teraz brylanty i perły i włożyłem je do kieszeni.

— To do ciebie nie należy ,— klejnotów mojej matki nie pozwolę kalać dotknięciem, tak podlej, jak ty, istoty. Dla ciebie są stósowne kosztowności, które ci ofiarował hrabia Ogilva — skradzione skarby, własność rozbójnika Carmela Neri! Weź je wszystkie!

I otworzyłem wieko trumny, przeładowanej zdobyczą Carmela.

— Widzisz teraz, zkąd miałem pieniądze i drogie kamienie! Znalazłem to przypadkiem! Bierz, co chcesz!

ROZDZIAŁ OSMNASTY.

Nina pochyliła się nad trumną i blask nadziei i chciwości rozjaśnił jej tawrz.

Jaka ona była brzydka w tej chwili! Jak mogłem ją niegdyś kochać!

— O Nino, — zawołałem z rozpaczą, — czemu nie czekałaś na moją śmierć, zanim nie wzięłaś sobie kochanka! Byłbym ci to wybaczył! Ale w trzy miesiące po ślubie! Ach, ja cię kochałem! Jak okrutnem było moje rozczarowanie!

Nina uśmiechnęła się.

— Fabio! — szepnęła, — Fabio, wybacz mi! Ja cię kochałam, wierzaj mi, i wynagrodzę ci teraz wszystko, co wycierpiałeś! Będę cię kochać — będę ci wierną! Spojrzyj na mnie! Przecież jestem zawsze jeszcze młoda i piękna.

I rzuciła mi się na szyję, patrząc w oczy i szukając w nich iskry dawniejszej miłości.

Ale ja odsunąłem ją lekko.

— Za póżno, — rzekłem tylko, — za późno!

Teraz przybrała twarz jej dziwny wyraz przerażenia i trwogi. Oczy jej zwróciły się w jeden kąt grobowca, jak gdyby tam kogoś widziały. Wyciągnęła ręce i zaczęła szeptać prędko, niewyraźnie:

— Cicho, nie mów nic — on nie powinien słyszeć twego głosu — Pójdę do niego i powiem mu — —

Potem poszła kilka kroków naprzód.

— Gwidonie! Gwidonie!

— Nino! Co ty mówisz! — zawołałem mimowoli przestraszony.

— Zabij go! — wołała, — zabij go! Ach, on idzie! idzie! Ratuj mnie! Nie dotykaj mnie, Gwidonie! Jestem wolną! Czy wiesz, że Fabio nie żyje?

Co ona okropnego oczami duszy widziała?

Przez chwilę stała z podniesionemi w górę rękami — potem jękła i upadła twarzą na kamienną posadzkę. Czy zemdlała? Czy umarła?

Zemsta moja była zadowoloną! Gwidona było mi żal, Niny — wcale nie! Jej wina stokroć większą była, niż jego. Gdyby nie była przyjmowała jego miłości.....

Zwróciłem się ku drzwiom, czas było wyjść i zostawić ją tu samą.

Niech umrze tutaj tak, jak ja miałem umierać. —

Zauważyłem, że ogromny wicher powstał teraz na dworze i szalał z całą gwałtownością. Wycie jego odzywało się przerażająco w grobowcu — świece dopalały się i coraz większa ciemność roztaczała się w około. Na zegarze wybiła godzina pierwsza! Czas wychodzić ztąd! —

Zaledwie wstąpiłem na pierwszy stopień schodów, podniosła się Nina. Zemdlenie ustąpiło. Nie zważając wcale na mnie, zaczęła rozplatać swe złote warkocze i śmiała się głośno, szepcąc jakieś słowa......

Potem pochyliła się nad skarbem w trumnie, wyjmowała klejnoty i stroiła się w nie, tak, że wnet była cała niemi okryta.

Zbliżyłem się znowu do niej.

Ale cóż to? Nad nami rozległ się straszny łoskot — wicher wył okropnie — prawdziwa muzyka potępieńców! Nina śmiała się ciągle.

— Nino! — zawołałem.

— Obejrzała się na mnie, ale zaraz potem przekładała znowu klejnoty.

— Ach, jaka jestem piękna, — mówiła półgłosem, — Gwidon kocha mnie!

Zrozumiałem teraz.....

Nina była obłąkaną!

I nagle zbudziła się w sercu mojem serdeczna dla niej litość! Nie, tej nieszczęśliwej nie zostawię tutaj! Ukarałem ją dosyć — teraz ratować ją będę!

— Pójdź ze mną, — rzekłem, biorąc jej rękę.

Ale odepchnęła mnie gwałtownie.

— Kto ty jesteś! — krzyknęła — jak możesz wychodzić z grobu? Przecież ty nie żyjesz! On umarł, Gwidonie! Cieszysz się?

Milczysz, boisz się? Ach, ja ciebie kocham!

Chciałem ją przemocą wyprowadzić z grobowca, gdy nagle rozległ się po raz drugi ogłuszający huk, i sufit grobowca zapadł się nad nami. Deszcz kamieni, piasku i gruzów sypał się z góry na nas.

Instynktownie cofnąłem się na stronę i zamknąłem oczy, a gdy je po chwili otworzyłem, panowała wokoło mnie najgłębsza ciemność i śmiertelna cisza.

Jeszcze gwałtowniej szalał wicher pomiędzy murami i rzucał mi w twarz zwiędłe liście i piasek.

Cicho — czy nie dał się tam słyszeć cichy jęk?

Drżąc z przerażenia wydobyłem zapałki z kieszeni ale było to światło tak słabe, że nic nie mogłem dojrzeć.

— Nino, — zawołałem, — Nino!

Żadnej na to nie otrzymałem odpowiedzi!

Tuż obok mnie ujrzałem kawał zgasłej świecy, zapaliłem ją więc szybko, poświeciłem i —

— Boże Wielki! — krzyknąłem przerażony.

Kara Boga była jeszcze surowszą, niż moja!

Olbrzymia płyta granitu, spadająca z góry zmiażdżyła Ninę!

Oprócz małej, białej rączki, na której błyszczała ślubna obrączka, niczego z całej jej postaci widać nie było.

Ręka ta poruszyła się jeszcze kilka razy, potem leżała cicho, nieruchoma —

Okropność!

Widzę zawsze we śnie tę małą rękę — grozi mi ona, błaga, oskarża mnie, i nie opuści mnie pewnie aż do śmierci.

Kawał białej sukni, krwią zbroczonej, wychylał się z pod kamieni.....

Schwyciłem szybko krzyż mnicha i wcisnąłem go w sztywniejące już palce.

— Więcej nie mogę dla ciebie uczynić, — rzekłem, — niech ci Bóg przebaczy!

Potem wybiegłem jak szalony z grobowca.

Na dworze okropna była burza.

Ziemia drżała pod memi stopami, deszcz spływał strumieniem na głowę — a ja pędziłem dalej i dalej, jak gdyby mnie furje ścigały!

Nina nie żyła, ale nie ja ją zabiłem!

* * *

Nie poznany od nikogo i nie zatrzymywany nigdzie, opuściłem Neapol.

Kapitan Bardi przyjął mnie bardzo uprzejmie i odstąpił mi nawet własnej kajuty. Nerwy moje strasznie były rozdrażnione i cisza i samotność bardzo mi były pożądane.

Zwolna przyszedłem do rozpoznania, że Nina rzeczywiście nie żyła.

I dobrze, że się tak stało. Czegóż ona mogła się jeszcze od przyszłości spodziewać?

Klucz od grobowca wrzuciłem w morze.

Wyjechałem do Południowej Ameryki.

Zniklem ze świata i po raz drugi pogrzebałem się żywcem. W odwiecznych lasach znalazłem spokój i nigdy z nich już nie wyjdę. —

Nikt nie wie, że owym skromnym, prostym farmerem jest ogólnie niegdyś lubiony hrabia Romani, a później świetny hrabia Ogilva, którego nagłe zniknięcie poruszyło swego czasu całe Włochy!

Raz czytałem w starych gazetach artykuł, zatytułowany:

Tajemniczy przypadek w Neapolu.

Dowiedziałem się ztąd, że w całym kraju nieomal szukają hrabiego Ogilvę, który znikł razem z żoną.

Nie znaleziono ani jego, ani jej! Czemu nie otworzono grobowca Romanich?

Ale Neapolitańczycy woleliby się zarazie rzucić w objęcia, niż otworzyć grobowiec!

Dobra moje stały się własnością rządu — i dobrze tak — bo godniejszego spadkobiercy nie byłbym znalazł!

Jestem umarłym człowiekiem! Mymi towarzyszami są prastare drzewa i gnieżdżące się na nich ptaki — one znają moje cierpienia!

Bo ja zawsze jeszcze okropnie cierpię!

Zemsta jest słodką, ale wspomnienie sprawia mi straszne męczarnie. Ninie wybaczyć nie mogę, chociaż winę swoją życiem zapłaciła! Pomimo to nie żebrzę o litość, nie potrzebuję jej! Ukarałem winnych i cierpiałem więcej niż oni, ale tego nie można było zmienić! Nie żałuję niczego i nie mam wyrzutów sumienia. Jedno tylko męczy mnie — widzę zawsze w nocy małą, białą rączkę, ozdobioną brylantami — rączka ta podnosi się i porusza, drży, grozi mi i woła mnie, — dalej i dalej — aż w świat nieznany, w którym nie ma dla mnie ani światła, ani miłości.....

Koniec.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

34) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Odbywam właśnie podróż inspekcyjną, — rzekł ostro, — i sam Bóg sprowadził mnie tu, abym zapobiegł tak strasznej niesprawiedliwości. Żądam natychmiastowego uwolnienia oskarżonej, akta zabieram ze sobą, aby je w wolnym czasie dokładnie przejrzeć.

Po tych słowach wyszedł minister, a pół godziny później opuszczała Józefina więzienie.

Publiczność cała okazywała jej jak najwięcej współczucia. Każdy chciał jej chociaż rękę uścisnąć, a byli i tacy, którzy ofiarowali pieniądze lub mieszkanie.

Jeden z kupców w Granicy, posiadający największy skład strojów damskich, poprosił ją o przyjęcie miejsca u niego za dosyć wysokiem wynagrodzeniem, ale Józefina odmówiła. Za nic w świecie nie byłaby pozostała w mieście ,w którem ją taka krzywda spotkała!

Postanowiła zostać tu jeszcze tylko do jutra, i to u tego samego hotelisty, u którego mieszkała przed uwięzieniem swojem, aby sobie trochę wypocząć, i przedewszystkiem wezwała do siebie Martę i Saguntę, chcąc im raz jeszcze podziękować za okazaną życzliwość.

Stara Marta przeklinała nieustannie hrabiego Barina i Rozdzina i zarzekała się, że krzywoprzysięztwa, jakie dziś obydwaj popełnili, nie mogą im ujść bezkarnie. Ona sama postara się o to!

Józefina prosiła, aby zaniechała swej zemsty — nie przez wzgląd na Ramira, który na surową zasłużył karę, ale przez wzgląd na niewinną Felicyą.

— Jest mi to niezrozumiałą zagadką, — rzekła Marta — że ta piękna, szlachetna kobieta żyje z tym zbrodniarzem i wypełnia bez szemrania wszystkie jego rozkazy!

— Może ona kocha go, — zawołała Sagunta, — a miłość jak wiesz babko, jest ślepą!

— Nie, — odezwała się Józefina, — Felicya nie kocha go! Ja znam tego, któremu serce oddała, ale to jest mąż innej!

Nad wieczorem wróciła Marta z Saguntą do domu, a żegnając Józefinę, wsunęła jej stara cyganka woreczek z pieniędzmi w rękę.

— Weź to, — szepnęła, — będziesz potrzebować kilka groszy. Skoro się dorobisz, oddasz mi je, ale nie myśl, że żądam tego koniecznie!

Z wdzięcznością przyjęła Józefina pożyczkę i ucałowała rękę starej cyganki.

— Dziwna rzecz, — szepnęła Marta, odchodząc, — ci, których kochamy, odchodzą zawsze w daleki świat, ci, których nienawidzimy, zostają zawsze przy nas!

Hotelista, który Józefinę przyjął tak gościnnie, zrobił świetny interes. Mieszkańcy miasteczka, dowiedziawszy się o tem, przybywali tłumnie do hotelu, tak, że służba zdołała z ledwością wypełnić wszelkie życzenia. Każdy chciał ją raz jeszcze zobaczyć, a przytem zjeść dobrą kolacyą, więc też pieniądze płynęły jak woda do kasy hotelisty.

Po odejściu ostatniego gościa przeliczył hotelista dzisiejszy dochód, i przekonał się, że ma czystego zysku przeszło sto guldenów!

Ucieszony tem niezmiernie dał Józefinie trzydzieści, mówiąc:

— Pani zawdzięczam dziś tak dużo, przyjmij więc odemnie małą część chociaż mego zysku.

Józefina wzbraniała się długo, ale poczciwy hotelista prosił tak serdecznie, że w końcu, nie chcąc go obrazić, musiała przyjąć ofiarowane pieniądze.

Nazajutrz wyjechała, zamierzając udać się znowu do Wiednia. Miała dziwne jakieś przeczucie, że zobaczy tam Maksymiliana, i tym razem postanowiła już go nie opuszczać!

Do Hernali iść nie chciała — nic nie miało jej przypomnieć tego, że była córką zbrodniarzy i oszustów!

ROZDZIAŁ L.

Cerna Hora.

I tak wróciła Józefina pewnego pięknego dnia do Wiednia.

Dziwne wzruszenie ogarnęło ją, gdy idąc z małym kuferkiem przez znajome sobie ulice, myślała, ile od czasu swego wyjazdu ztąd przecierpiała, ile krzywd i upokorzeń doznała!

Jak wszystko się zmieniło! Była teraz wprawdzie znowu — w domu, — ale domu nie miała — nie znała nikogo, bo z dawniejszymi znajomymi żadnej nie chciała mieć styczności, do rodziców wracać nie mogła, była więc znowu samą, opuszczoną, bez opieki i rady przyjacielskiej!

Jedynem jej szczęściem było, że miała trochę pieniędzy, i że na pierwszych kilka miesięcy nie potrzebowała się obawiać głodu i nędzy. Wynajęła ładny, skromny pokoik i gabinet na przyzwoitej ulicy, na czwartem piętrze, i starała się o jaką odpowiednią dla siebie robotę.

Gospodarzem jej był listonosz, człowiek pracowity i uczciwy, tak samo i jego żona, a że dzieci nie mieli, zajęli się szczerze Józefiną, i uważali ją za członka rodziny.

Pierwszej zaraz Niedzieli pojechała Józefina do Gersthof, w celu odwiedzenia wieśniaczki, której powierzyła małą Ludwinię, córkę Józefiny Neipert.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z teatru.

(„Nerwy i miłość,“ dramat w 5 aktach Kazimierza Krzyżanowskiego.)

W zeszłą sobotę teatr nasz przybrał wygląd świąteczny. Premiera pana Krzyżanowskiego zwabiła liczny zastęp elity poznańskiej i koszyk teatralny zasłały dyskretne, przeważnie popielate stroje, białe pióra powiewały w lożach i grono widzów zlewało się w jedno ożywione, malownicze obozowisko.

Premiery posiadają szczególnie nęcącą woń, rozbudzając ciekawość wszystkich odcieni i drażniąc zmysł krytyczny. W tym wypadku główną bodaj przynętę stanowiła szczypta pospolitego zaciekawienia, co powie nam o nowoczesnych „nerwach“ i starej jak świat a wiecznie nowej „miłości“ autor, artysta-malarz w pośród nas żyjący i debiutujący na scenie poznańskiej.

Zda się wszakże, że w naszem środowisku, odgrodzonem od prądów światowych i ożywczych podmuchów artyzmu wałem kamieni, które określamy słowem: stosunki, że na tej niepodatnej glebie i w tej atmosferze jędrnej, lecz zimnej, ponurej, dusznej i dla muz nieodpowiedniej — nie może rozwinąć się kwiat piękna, lecz zamiera w zarodku. Kiedy niekiedy zabarwi on szarotę naszej niwy, lecz wnet usycha; z tych niewielu odosobnionych zakusów, jakie dzielna dyrekcya zrobiła w celu wydobycia w światło kinkietów utworów miejscowych autorów, większość jak mnie zapewniają — pozostawiła wrażenie prób mniej lub więcej chybionych, reszta zaś utonęła w mroku zapomnienia. Premiera sobotnia należeć będzie do pierwszych; wróżymy jej żywot tylko efemeryczny.

Cóż kryje się pod firmą: „Nerwy i Miłość?“

„Dwa są rodzaje dramatów, — powiedział pewien pisarz — jedne wynikające ztąd, że bohater nie otrzymał tego czego pragnął, drugie zaś ztąd, że otrzymał co pragnął.“ Dramat malarza Wirskiego wypływa z tego drugiego źródła. Ma on to nieszczęście, że ma za wiele szczęścia do kobiet.

Kocha się w nim namolna jak mucha modelka Stefka, podkochują się w nim uczennice, dalej Melania, z którą jest zaręczony, darzy go gorącym afektem a wprost wulkanicznym ogniem miłości pała doń Irena Rakowiecka. Uczucie niby wino uderza jej do głowy, wyprowadza ją z równowagi i Irena rzuca się na szyję wrażliwego artysty, który niezdolny oprzeć się pokusie, zamyka oczy na narzeczoną i idzie za głosem nerwów. Stosunek zrywa się (akt III), matka Ireny ciska w twarz „uwodzicielowi“ słowa pogardy a, chociaż malarz gotów dać Irenie „swoje nazwisko,“ kochanka wzbrania się stanąć z nim przed ołtarzem, truje się. W czwartej odsłonie znajdujemy ją na łożu śmierci na strychu, gdzie kona na rękach Wirskiego i lekarza. Ból szarpie pierś malarza (akt V), myśl jego błądzi na linii, gdzie poczyna się obłęd i Wirski chwyta za rewolwer. Na to wchodzi przyjaciel jego, malarz Łopusiak niemniej zrozpaczony.

Kochał bowiem Irenę, nazwiska swego bożyszcza nie zdradziwszy przyjacielowi. Na domiar dowiaduje się, że kochankiem nieszczęsnej Ireny był Wirski. W pierwszej chwili rzuca się na niego, chwyta go za gardło, potem uniewinnia go, zważywszy, że Wirski nie wiedział, iż Irena jest przedmiotem miłości przyjaciela, nie starał się jej usidlić. Po stracie gwiazdy, co rozjaśniała mu dni posępne, Łopusiakowi życie wydaje się ciężarem. I on pragnie wziąść z niem rozbrat. Aby rękę jego powstrzymać od samobójstwa, Wirski chwyta się fortelu. Twierdząc, że „jeden z nich żyć musi“ proponuje balotowanie — amerykański pojedynek. Kto wyciągnie białą kulkę pozostanie przy życiu, a on podaje przyjacielowi naczynie z dwoma kulkami białemi, i sam pada trupem.

Otóż kościec sztuki, która w rzeczy samej nie jest niczem innem jak kośćciem, szkicem do dramatu. Autor bowiem nader pobieżnie narysował kontury postaci, materyału nie wyzyskał a bohater pozostaje do końca słomianym manekinem bez treści wewnętrznej. Pan Krzyżanowski nie odchylił wrót do serca bohatera, tymczasem tytuł sztuki uprawniał do przypuszczenia, że utworzy je na rozcież a fabuła wymaga imperatywnie, by przynajmniej zaznaczył, jak pogodzić miłość Wirskiego do narzuconej z jego zmysłowym popędem ku Irenie. Jakoż Wirski nie zdobywa nawet sympatyi widza. W akcie pierwszym okazuje się czczym, w swą pustkę sercową i duchową zapatrzonym człowiekiem, który mógłby być równie dobrze episierem jak artystą. W akcie drugim to suchy profesor, pozujący na pedanta, opryskliwy, który zżyma się na cięte uwagi jednej z uczennic i usiłuje nadać sobie powagę. Po tej idealnie krótkiej lekcyi w profesorskie zdolności Wirskiego trudno uwierzyć. W akcie trzecim wobec gorzkich wymówek pani Rakowieckiej nie ma on słowa, któreby znamionowało dżentelmana. Przy łożu śmierci Ireny pozostaje banalnym a cierpienie jego wcale nas nie rozczula. Nie wiemy bowiem co głównie skłania go do rozpaczliwego kroku czy to, że narzeczona zwróciła mu pierścionek, czy to, że stał się sprawcą śmierci Ireny, czy wreszcie to, że wyrządził krzywdę przyjacielowi? Czy może czuć on się winnym śmierci Ireny? Przecież nie okazał jej miłości, odpychał ją od siebie, przestrzegał, bronił się przed pokusą, a potem poświęca się, gotów stanąć z nią przed ołtarzem. Dalej, czyż może kamienować się za to, że skrzywdził przyjaciela — bezwiednie? A więc boleść nad tragicznym końcem Ireny i nieszczęściem przyjaciela sama przez się nie motywuje dostatecznie samobójstwa. Czy przeto odmowa narzeczonej popycha go do tego kroku? Zapewne, autor wszakże zapomniał pokazać nam miłość Wirskiego do Melanii, nie może zaś oczekiwać, aby widz wierzył mu na słowo.

Jedynie neurasteniczna nadczułość i wrażliwość mogłaby uzasadnić gwałtowną śmierć bohatera, lecz ani autor ani aktor nie wyposażył Wirskiego znamionami neurastenika. Pan Malski jest zbyt młodym aktorem, by posiadać bogaty wewnętrzny fundusz i wyrobioną inteligencyą aktorską, które pozwoliłyby mu zaczerpnąć coś z własnych zasobów i wycieniować bladą figurę Wirskiego.

Irena Rakowiecka to postać jednotonowa i dlatego niewdzięczna dla aktorki. Jeżeli w nieprzygotowanej dostatecznie scenie wybuchu rozwichrzonych uczuć Irena nie była całkiem przekonywującą — nie wina panny Podgórskiej, która robiła heroiczne wysiłki, by urzeczywistnić tę postać, nie przeprowadzoną logicznie. W świetle psychologii wydaje się niepojętem, że dziewczyna, która bez względu na narzeczoną Wirskiego wyżebrała jego uścisk i zaprzepaściła się w miłosnym szale, wzbrania się stanąć na ślubnym kobiercu z ukochanym. Nie licuje to wcale z temperamentem ni nastrojem Ireny. Jeżeli autor tak pokierował jej krokami — stało się to bodaj ze względu na to, że gdyby Irena postąpiła zgodnie z swem ja, rozwój sztuki wziąłby inny obrót i — nie byłoby tragedyi.

Natomiast matka jej przemawia nam do przekonania; p. Krzyżanowski wyposażył ją prawdziwym rysem stronniczości macierzyńskiej. Pani Rakowiecka obwinia wyłącznie Wirskiego a wzbrania się przypisać winę dziecku.

Malarz Łopusiak, przyczepiony do osi sztuki, przypomina liczne pokrewne kreacye z naszej beletrystyki. Cygan-artysta stanowi wdzięczny materyał dla pisarza, lecz autor „Nerwów i miłości“ nie odświeżył tego typu żadnym rysem, nie wymodelował według natury, lecz przeciwnie zbanalizował, ściągnął w gra-

nice pospolitości. Czy zamiary samobójcze Łopusiaka mamy brać za dobrą monetę, czy przypisać przejściowej depresyi? — Wirski poczytuje je za szczery wyraz, lecz któryż uduchomiony człowiek nie miał w pewnych momentach życia na ustach słów: „Jak to życie jest marne!“? Widz zresztą nie przypuszczał, aby miłość Łopusiaka zapuściła w jego sercu korzenie tak głębokie, by bez Ireny nie pojmował istnienia. Spada to na nas niespodzianie. Pan Stradiot starannie odegrał Łopusiaka, usiłując wydobyć z swej bladej roli tony szczerości.

Jak często zdarza się u początkujących dramatopisarzy, w sztuce pana Krzyżanowskiego spotykamy cały legion osób epizodycznych i zbytecznych figurantów, np. stróżkę i żebraka, pod których dachem umiera Irena, jakby matka jej nie mogła znaleźć dla niej odpowiedniejszego przytułku. Z tego zastępu wynurzają się dwie karykaturalne postacie: reportera Wycieralskiego i studenta Talera, odegrane dobrze przez pana Czerniaka i p. Szymańskiego, aktora posiadającego cenne warunki sceniczne. Mówiąc o wykonawcach „Nerwów“ należy podnieść grę pana Dybizbańskiego jako malarza Ciszewskiego.

Co się tyczy strony technicznej sztuki, mamy sobie za obowiązek wskazać na kilka wadliwości, które autor pracując dalej na tem polu, potrafi niezawodnie usunąć. Przedewszystkiem w nowoczesnym utworze razi przestarzała maniera sceniczna, uświęcona przez Scribe'go a ujawniająca się w monologowaniu osób i szeptach „na stronie“. Wypał ją wpływ Ibsena — owego wielkiego mistrza techniki, który służy dzisiejszym komedjopisarzom na wzór. Powtóre autor popycha akcyą za pomocą powtarzających się często a nużących rozmów służby, z których dowiadujemy się nieraz rzeczy już wiadomych. Bo p. K. nie opanował materyału, nie streścił go, nie skrystalizował; kilka przeto scen niezbędnych pozostało za sceną, natomiast wkradły się na nią inne, nie związane ani jedną nicią z rdzeniem sztuki. Jakże np. dyalog pomiędzy stróżką i jej mężem odwodzi uwagę widza od umierającej i robi niesmaczne wrażenie wprowadzając melodramatyczny pierwiastek.

Dyalektyka p. Krzyżanowskiego zdradza brak erudycyi literackiej, brak skupienia myśli i napięcia ducha, które sprawiają, że sztuka chociażby najeżona kardynalnemi wadami w budowie i usterkami, przykuwa widza potęgą słowa olśniewa i unosi w światy autora. A mnogie stylistyczne błędy i chropowatości nie przyczyniają się do podniesienia wrażenia. „Tak, zgadzam się“, — mówi Wirski do pani Rakowieckiej, zamiast: „Rozumiem panią“ itd.

Z całokształtu sztuki wyziera niewprawna, nieumiejętna ręka, która nigdy nie dotknęła się warsztatu dramatycznego i nie poznała kardynalnych prawideł techniki, tak iż — nie przesądzając z tej próby o talencie autora — sobotnią premierę musimy wliczyć w poczet jeźli nie ikarowych to w każdym razie zbyt ambitnych wzlotów.

Roman Rola.

†

NEKROLOGIA.



S. p. ksiądz Leon Laskowski,

zmarł w Poznaniu d. 11-go b. m. wieczorem po długiej chorobie. Zmarły był proboszczem u św. Wojciecha, a odznaczał się nie tylko gorliwą pracą w winnicy pańskiej, ale i niezmordowaną pracą na niwie obywatelskiego życia. Należał także między innymi do zarządu Towarzystwa Czytelni Ludowych i był pracowitym członkiem komisyi krytycznej tego Towarzystwa; od r. 1897 był wiceprezesem tej instytucyi. Zmarły urodził się w roku 1839 w Poznaniu, jako syn śp. Ignacego Laskowskiego, profesora przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Święcenie kapłańskie otrzymał w roku 1863. Władza duchowna powołała go na wikaryusza do Wronek. Po krótkim czasie powrócił do rodzinnego miasta, gdzie objął posadę mansyonarza przy kościele św. Wojciecha. Przez 7 lat z wielką gorliwością poświęcał tu się pracy duszpasterskiej pod kierownictwem ówczesnego proboszcza ks. Fr. Bażyńskiego. Następnie powołała go władza duchowna na posadę administratora parafii w Poniecu, aby wyręczał już wówczas chorobą złożonego ks. proboszcza Respądka. Po roku objął probostwo w Gołuchowie, otrzymawszy prezentę od ś. p. Jana hr. Działyńskiego. Po kilkunastu latach mianowany został dziekanem dekanatu pleszewskiego. Wreszcie w r. 1896 powrócił znowu do rodzinnego swego miasta Poznania, powołany przez Najprzewielebniejszego księdza Arcypasterza na probostwo św. Wojciecha, gdzie też chlubny swój żywot zakończył.

Zmarły pracował gorliwie i niestrudzenie dla Boga i bliźnich, to też zjednał sobie wielką miłość i szacunek u wszystkich, a zwłaszcza u parafian. Brał też żywy udział we wszystkich sprawach społeczno-narodowych i był gorliwym czytelnikiem i zwolennikiem „Pracy.“ R. i. p.

Do dzisiejszego numeru dołączamy kwity pocztowe na „Pracę“ na miesiąc grudzień, oraz kwity pocztowe na „Czytelnię Polską“ na bieżący kwartał.

Związki zawodowe dla kobiet.

Już to pewnie ze dwa lata temu, jak w jednem z pism tutejszych pojawił się artykuł, omawiający dolę szwaczek i nawolujący do założenia stowarzyszenia, któreby miało za cel zapobiegać wyzyskowi, jakiemu podlegają pracownice igły. — Podobne głosy odzywały się później jeszcze raz po raz. Wzywano kobiety wyższych sfer, wzywano duchowieństwo, aby zajęło się losem wyzyskiwanych szwaczek. Dotąd jednak nic w tym kierunku nie zrobiono.

A czyż to tylko szwaczki są wyzyskiwane?

Czy w innych gałęziach przemysłu jak np. w cygarnictwie, szewstwie i t. d., czy tam praca kobiet jest należycie wynagradzaną? Czy zarobią one tyle, aby się z tego uczciwie i przyzwoicie utrzymać mogły?

W ostatnim czasie wzrosły ceny na wszelkie artykuły żywności; wzrastają też ciągle ceny mieszkań, podwyższają się podatki.

Czy w stosunku do tego wzrastają też ceny za pracę kobiet?

Przeciwnie! Ceny te coraz więcej spadają.

A kobiety . . . . . milczą ,bo obawiają się utracić pracę!

A przecież każdy człowiek może, a nawet powinien dążyć do polepszenia swego bytu!

Mężczyźni inaczej umieją bronić się przed wyzyskiem.

Drukarze naprzykład ustanowili za swoje prace ceny taryfowe; do których pracodawcy stósować się muszą. Tak samo ceny taryfowe za pracę ustanowili krawcy, pracujący dla składów.

Aby mieć środki na przeprowadzenie swych żądań zakładają mężczyźni Związki zawodowe, gdzie chętnie płacą małą składkę tygodniową, aby w potrzebie mieć pomoc.

Czyż to kobiety pracujące nie powinny także założyć między sobą Związku zawodowego?

Miałby taki Związek dla nich o wiele większe jeszcze znaczenie, niż dla mężczyzn, bo nietylko, że z jego pomocą nieraz może uzyskałyby większy zarobek, ale byłby on dla nich ogniskiem, gdzie mogłyby się wzajemnie objaśniać co do stosunków zarobkowych; gdzie mogłyby zachęcać się wzajemnie do wytrwałości w walce o byt.

„Związek zawodowy“ byłby pierwszem stowarzyszeniem świeckiem dla kobiet pracujących. To też spodziewać się należy, że wkrótce usłyszymy o założeniu takowego i że przystąpią do niego wszystkie bez wyjątku kobiety, pracujące bądź to w szwalniach, bądź w fabrykach.

(Na zebraniu odbytem w zeszłą niedzielę w Domu katolickim uchwalono utworzyć w myśl powyższego artykulu Związek kobiet, który przystąpi jako filia do centralnego polskiego Związku zawodowego. Szczęść Boże! — Przyp. Redakcyi.)

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Z teatru Dyrekcya teatru, zachęcona niezwykłem powodzeniem „Dziadów“, przygotowuje na bieżący sezon inne wspaniałe utwory naszych poetów; niezadługo ujrzymy na naszej scenie „Kordjana“ J. Słowackiego i „Warszawiankę“ St. Wyspiańskiego, dalej piękne tragedye Szekspira i Szyllera. Pragnąc dzieła te ukazać we właściwej szacie dekoracyjnej i kostyumowej, dyrektor p. Ryger nabył za parę tysięcy marek w Berlinie odpowiednie stroje historyczne i zamówił w Dyseldorfie stylowe dekoracye.

Wielka liczba gości bywających w krzesłach parterowych, domaga się, aby panie, jak to bywa we wszystkich teatrach, raczyły zdejmować kapelusze. Dyrekcya teatru ponawia więc prośbę, w ubiegłym sezonie kilkakrotnie wyrażaną, o zdejmowanie kapeluszy damskich, przeszkadzających osobom w dalszych rzędach, w swobodnem obserwowaniu sztuki.

— **Pani** Wanda z Chrzanowskich Kuczkowska przejęła z dniem 12-go bm. na własność interes spedycyjny „Expresse.“ Kantor znajduje się na dawnem miejscu przy ul. św. Marcina 65. Szczęść Boże!

— **Karty** pocztowe z kolorowemi obrazkami ludu polskiego wydał J. Chociszewski w Gnieźnie. Na 10 pocztówkach widzimy następujące typy ludowe: I. Krakowiacy. II. Górale. III. Wielkopolanie i Kujawiacy. IV. Ślązacy. V. Mazurzy VI. Kurpie. VII. Sandomierzanie i Lublinianie VIII. Podlasiacy. IX. Rusini. X. Litwini. Obrazki te są wykonane podług wzorów zasłużonego W. Eliasza. Polecamy gorąco naszym czytelnikom wydawnictwo J. Chociszewskiego. Cena za 10 kolorowych pocztówek 1 m., z przesyłką 1,10 m. Sprzedającym z drugiej ręki rabat. Zamawiać pod adresem: *J. Chociszewski, Gniezno (Gnesen).*

— **Firma „Atlas“**, właściciel p. W. Kostrzewski w Poznaniu przy Starym Rynku nr. 49-ty, poleca w wielkim wyborze po jaknajtańszych cenach wszelkie artykuły biurowe i szkólne, materyały piśmienne oraz towary w zakres ten wchodzące. Rzutki i zabiegliwy właściciel wydał świeżo własnym nakładem nadzwyczaj tanie książeczki z obrazkami kolorowemi dla dzieci, zaopatrzone w piękne wierszyki, objaśniające treść poszczególnych obrazków, a nadające się bardzo na *podarki gwiazdkowe.* Dla pp. kupców, handlarzy i t. p. ceny hurtowne obok wysokiego procentu na wszelkie towary, mianowicie na kalendarze. Polecając firmę „Atlas“ gorąco względom Szanownych Czytelników, zwracamy baczną uwagę na anons zamieszczany stale w „Pracy“.

— **Tapety** w wielkim wyborze oraz wszelkie nowości w artykułach męskich poleca po cenach umiarkowanych p. Władysław Hahn (firma W. Hahn) przy Starym Rynku nr. 51.

— **Najtańsze źródło** zakupu wszelkich wyrobów złotniczych jest tylko w fabryce p. Stanisława Mańczaka przy ul. Wilhelmowskiej nr. 24-ty. Obrączki ślubne wykonują się w przeciągu godziny, a reperacye uskuteczniają się na poczekaniu. Na stale zamieszczany anons w „Pracy“ zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym.

— **Grudziądz** Ważny proces będzie się w bliskim czasie toczył przed izbą karną w mieście naszem, a mianowicie przeciwko wydawcy „Gazety Grudziądzkiej“, panu Kulerskiemu, z powodu mów, wygłoszonych w roku 1901 na wiecach w Gniewkowie, Koronowie i Biskupcu. Na wiecach tych przemawiał wydawca „Gazety Grudziądzkiej“ o naszych smutnych stosunkach szkolnych i poddał panujący dziś w szkole ludowej system pedagogiczny ostrej, ale zasłużonej krytyce W mowach tych wykazywał pan Kulerski sprzeczność dzisiejszego sposobu nauczania z zasadami najwybitniejszych pedagogów i przytaczał rozmaite, nieraz bardzo drastyczne a oświetlające tem jaskrawiej wadliwość owego systemu orzeczenia koryfeuszów w dziedzinie pedagogiki.

Na te mowy odpowiedziały rejencye w Bydgoszczy i Kwidzynie skargą o obrazę nauczycieli i władz szkólnych oraz zohydzanie urządzeń państwowych.

— **Pr. Starogard,** W mieście naszem jest nader korzystne pole dla budowniczego Polaka, znającego dokładnie swój zawód i pracującego sumiennie, pilnie i trzeźwo, a tem więcej, że jest od I. kwietnia 1903 plac budowlany (dotąd zajęty przez budowniczego) do dyspozycyi z kompletnem ogrodzeniem, stajnią dla 6 koni, kantorem, szopami dla wykonywania robót budowl., śpichrzami i na życzenie z pomieszkaniem. Egzystencya i pole do pracy w obec stosunków starogardzkich i okolicy jest *bezwarunkowo* pewne, lecz tylko dla człowieka pilnego, a nie obiecującego wiele, a mało czyniącego.

— **Znin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. Fr. Chojecki z Nowejwsi podgórnej 4 mk., A. Sobczak, St. Walczak, K. Reszel, K. Biedrowski po 1 mk., F. Goliński, St. Kowański po 50 fen. — wszyscy z Rauxel p. Dortmund, M. Janowiak z Brzyskorzystwi 5 mk., J. Motylewski i J. Wysogrodzki z Chełmży po 3 mk., Józef i Roman Więrzchowscy 7,70 mk., A. Wojciak z Biskupina i M. Rybarczyk z Sosny p. Więcbork po 3 mk, Malicka z Torunia 2 mk., zebrane przez T. Kopińskiego z Gocanowa p. Kruszwicą 62,71 mk., L. S. z K. i M. Płazalska z Żnina po 3 mk., za pośrednictwem „Kuryera Poznańskiego“ 11,80 mk., T. Igła z Kruszwicy 3 mk., W. Ciesielski z Trzeciewca 5 mk., Wiśniewski, Pubana, Kaszubek i Kędziorski z W. Kłoni 4 mk., R. Wierzchowski z Jeżyc przegrane w zakład 3 mk., Z. Wrzyszczyński z Żnina 2 mk., A. i K. Kołeccy z Pozowa 1 mk., zebrane przez F. Siadaka w Bożejewiczkach 31,60 mk., J. Górska z Zamościa 2 mk., zebrane przez M. Dybowskiego z Bzowa 14,50 mk., W. Szudrowicz z Balczewa i M. Kasprowicz z Chełmna po 10 mk., T. Maciejewski z Pniew 3 mk., X. Proboszcz Niedbalski z Gąsawy od parafian 74 mk., X. Kanonik Echaust z Ryszewka 5 mk., X. Jan Niedzielski z Rogowa 3 mk., K. Bucholc i S. Maćkowski po 50 fen., M. Kujawa, W. Paprocki i S. Rybak po 2 mk., wszyscy z Żarczyna, A. Matuszak, S. Gapińska i R. Adamska z pod Trzemeszna po 1 mk., za pośrednictwem „Wielkopolanina“ 22,30 mk., J. Warda z Głowy 3 mk., S. Pawłowski, Sikorski, Dąbrowski z Chełmży po 1 mk.

„Bóg zapłać!“ Wszystkich ludzi chętnych i życzliwych proszę uprzejmie o zebranie składki pomiędzy znajomymi i przysłanie jej na moje ręce. Nie potrzeba, żeby ktoś wiele dał, tylko żeby *każdy* dał tyle, ile może.

„Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy;
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.“

X. Władysław Jasiński,
Administrator.“

— **Lubcz pod Rogowem.** Na kościół w Lubczu nadesłali w dalszym ciągu:

Prześwietna kapituła Metropol. Gnieźnieńska 200 mk., X. Kanonik Kazimierz Dorszewski z Gniezna 25 mk, X. proboszcz Fiebig z Jarząbkowa 20 mk., p. M. Karge z Gniezna 3 mk., p. Robowski adwokat z Żnina 20 mk., I. Dominiak z Popowa 3 mk., Fiałkowska z Tworzykowa 6 mk., p. Aleksander Kwiatkowski, profesor z Leszna 10 mk., za pośrednictwem p. Przykuckiej, zelatorki z Pomarzanek 11,75 mk.; I. Frost z Piaseczna 3 mk., N. N. z Cerekwicy pod Żninem 3 mk., St. Pfitzner z Poznania 10 mk., T. D. z Celle 3 mk., Józefa Gruszczyńska z Inowrocławia 10 mk., od matki chrześciańskiej z Mogilna 2,80 mk., Marta i Jadwiga Płaczek z Sadków 8 mk., Za pośrednictwem A. i P. Jankowskich z Kruszewni 18 mk. Leokadya Kowalska z Kiszewka 9 mk., Od kółka różańcowego „dziewic“ z Grodziszczka 3 mk., T. Mrozinski z Gajków 3 mk., A. G. z Poznania 50 mk., X. prob. Ussorowski z Gniezna od siebie i pewnych osób 100 mk., Z Środy nadesłali: S. W. Stożyńscy, Ziętkorska Jakuszkowiak, Otocki, Grabarz, Gielniak razem 8 mk., W. Janiszewski z Bożacina 3 mk., St. Klatt z Międzierzyna 3 mk., X. St. Skoracki z Orchowa z paraf. 22 mk., z Trzemeszna: A. W., M. B., F. G., A. T,, Sarbok, Jankowski, Miśkiewicz, M. T., Koczorowski, Solinska, Dabinska, Popek, Miłowska, Kozłowska, L. H., Śliwińska, Pilaroski, Drzewiecka, Zielińska, razem 15 mk., p. Slachczyńska z Trzemeszna 10 mk., K. Nowakowska z Cotonia 4 mk., od pewnego parafianina z Parzęczewa 7 mk., W. Koczorowski z Męcierzyna 40 mk., p. Strohteicher z Gościeszyna 3 mk., p. Łaniecki z Różogóry 7 mk., p. Smętkowski z Ryszewa 4 mk., p. Fr. Kościelcka z Żnina 10 mk., Za pośrednictwem A. i P. Jankowskich z Kruszewni 18 mk.,

Składając serdeczne „Bóg zapłać“! proszę uprzejmie o dalsze łaskawe ofiary.

X Czerwiński
Lubcz p. Rogowo.

Wiadomości literackie.

„Ogród jako źródło dochodu, czyli praktyczne sadownictwo“ Opis gatunków i odmian drzew i krzewów owocowych, jakie się okazały najwdzięczniejszymi w naszym klimacie przez Adama Kubaszewskiego z Gołuchowa. Z trzema tablicami i 110 rycinami w tekscie. Poznań, nakładem Centr. Tow. Gosp. w W. Ks. Pozn.

Pod tym tytułem wyszło co tylko obszerne dzieło sadownicze, obejmujące 44 arkusze druku, napisane przez znanego naszego pomologa i artystycznego ogrodnika p. A. Kubaszewskiego z Gołuchowa, majętności ks Witolda Czartoryskiego. — Dzieło to drukowane było arkuszami jako dodatek przy „Ziemianinie.“

Po tytule następuje dedykacya dzieła p. Stanisławowi hr. Żółtowskiemu z Niechanowa, prezesowi Cent. Tow. Gospod.

Zwracamy uwagę wszystkich ogrodników, sadowników i amatorów ogrodnictwa na powyższe obszerne dzieło, obejmujące 44 arkusze druku, dzieło, które teraz wyszło kompletne i zbroszurowane. Kosztuje 8 mk. (na przesyłkę 30 fen.) i jest do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Ziemianina.“

Dzieło to jest opracowane wedle najnowszych i najlepszych źródeł ogrodniczych i na podstawie własnego długoletniego praktycznego doświadczenia autora, który zebrał w niem wszystko to, co się na tem polu najlepszego i najnowszego pojawiło.

„Prawo o stowarzyszeniach w państwie niemieckiem“ opuściło prasę. Podręcznik ten niezbędny dla każdego Polaka, a bardzo ważny wobec nadchodzących wyborów, opisuje zebrania w miejscach zamkniętych, sprawy publiczne, polityczne, prawa robotników itd. Podręcznik można nabyć w księgarni Antoniego Stoca w Katowicach G. Sl. oraz w wszystkich księgarniach polskich. (patrz ogłoszenie).

Ruch w Towarzystwach.

— **Srem.** W niedzielę dnia 23 b. m. odbędzie się zebranie Towarzystwa ogrodniczego w lokalu p. Westphala o godz. $2^{1}/_{2}$. Szanownych pp. Członków zaprasza na powyższe zebranie

Zarząd Tow. Ogrodn. Śremskiego.

Od Redakcyi.

Panu Gn. — Dziękujemy. Sprawę tę poruszymy. Zarazem prosimy pamiętać, że redakcya „Pracy“ listów anonimowych nie uwzględnia.

Panu Stanisławowi P. w Środzie. — Miejsce to już zajęte.

Pięknej Czytelniczce z nad Wierzycy. — Nie tylko samym chlebem żyje człowiek, więc prócz powieści zamieszczać musimy i inne artykuły, nowelki i t. d. w dziale illustrowanym; na powieść poświęcamy na razie 4 strony. W niniejszym numerze zamieszczamy dokończenie powieści p. t. „Żywcem pogrzebany“ i odtąd przez czas dłuższy dawać będziemy dłuższe urywki z powieści „Męczennica w koronie.“

F. W w Sz. — Radzimy zgłosić się do „Towarzystwa Pomocy Naukowej,“ przedstawić świadectwa i td. lub do jakiego zamożnego obywatela, o ile możności takiego, który zna Pana rodziców. Nie sądzimy, aby polisa zabezpieczenia na życie pomogła co w tej sprawie.

St. N. w Raciborzu. — O ile nam wiadomo najlepsze pisma do inserowania o posadę są w Krakowie „Głos Narodu“ i lwowskie „Słowo Polskie,“ a w Warszawie „Kuryer Warszawski.“ Radzilibyśmy wybrać — Królestwo. — Korespondencya może być pożądaną. Polecamy się pamięci.

Panu J, O. w Czersku, Pr. Z. — Urzędnik stanu cywilnego winien imię i nazwisko do rejestru urodzin napisać podług życzenia rodziców, a mianowicie takie imię, jakie dziecko dostaje na chrzcie a nie, jakie urzędnik stanu cywilnego sobie życzy. W ostatnim czasie najwyższy trybunał w Berlinie orzekł, że imiona mają być zapisane najpierw podług ich brzmienia, a więc np. „Jan“ a w nawiasie dopiero podług brzmienia niemieckiego, a więc np. „Johann.“

Panu Stefanowi J. w Poznaniu. — Podaj Pan najpierw dokładny adres, nazwisko itd. Anonimy dla redakcyi nie wystarczą i takie listy wędrują do kosza.

Panu W. U. 26. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale wierszyk jest tak słaby i lichy, że zamieścić go nie możemy.

HUMORYSTYKA.

Uczył się rachować.

Matka: — Cóż, Jasiu, dobrze się sprawowałeś w szkole?
Jaś: — O! bardzo dobrze!
Matka: — Czegożeś się uczył?
Jaś: — Rachować.
Matka: — A coś rachował?
Jaś: — Łapy, które mi pan nauczyciel dawał.

Wielka

wyprzedaż gwiazdkowa

po nadzwyczaj nizkich cenach.

Materye na suknie.

Materye na suknie domowe metr 30 fen.
Półsukno metr 38 fen.
Nopé metr 45 fen.
Crepe-szewiot metr 65 fen.
Damskie sukna metr 75 fen.
Kratkowane w żywych kol. metr 65 fen.
Cibeline metr 90 fen.
Homespun metr 1,— mr.
Satyny we wszystkich kolorach 1,50 mr.
Lamy metr 1,50 mr.
Czarny kamgarn metr 2,— mr.
Materye na bluzki, nowości mtr. 90 fen.
Bawełniana flanela metr 27 fen.
Flanela podwójna szerokość
we wszelkich kolorach metr 65 fen.
Półjedwab na bluzki metr 60 fen.
Materye jedwabne metr 1,10 mr.
Aksamity na bluzki metr 1,— mr.
Aksamity Cordel metr 1,25 mr.

Bielizna damska.

Koszule damskie z obsadą 85 fen.
Koszule damskie z fałdkami
i wstawką 1,25 mr.
Koszule damskie z obojczykiem
i ręcznym haftem 1,35 mr
Koszule damskie eleganckie obsadzone 2,— mr.
Kaftaniki nocne z obsadą 85 fen
Kaftaniki z pikow. barchanu 95 fen.
Majtki damskie 75 fen.
Majtki damskie z pikowego
barchanu 85 fen.
Spódnice z szertyngu z haftem 2,– mr.
Majtki flanelowe 1,20 mr.
Spódnice flanelowe dzierżgane 1,45 mr
Spódnice flanelowe puchowe
dzierżgane 2,— mr.
Spódnice sukienne 1,75 mr.
Fartuszki 30 fen.
Fartuchy do gospodarstwa 85 fen.

Urządzenie pokoji.

Firanki białe metr 25 fen.
Firanki kolorowe metr 25 fen.
Portyery metr 25 fen.
Chodniki metr 30 fen.
Linoleum metr 70 fen.
Dywaniki przed łóżka sztuka 75 fen.
Dywany pod lustro po 2.— mr
Dywany pod kanapy w największym wyborze po do kol po 4,95 mr.
Nakrycia na stół po 1,75 mr.

Bielizna na łóżka.

Gotowe spodki 2,25 mr.
Gotowe wsypy różowe 1 pierzynę
i 2 poduszki 3,75 mr.
Gotowe powleczenia białe i kolorowe 1 pierzynę i 2 poduszki 2.75 mr.
Prześcieradło z domowego płótna 85 fen.
Prześcieradło płócienne 1,— mr.
Prześcieradło zimowe 85 fen.
Kołdry 1,25 mr.
Kołdry watowane 2,— mr.
Kołdry watowane satyn. 3,75 mr.
Kołdry białe para 2,50 mr.

Towary płócienne i bawełniane.

Walis szerokość na poduszki metr 40 fen.
„ szerokość na pierzyny metr 60 fen.
Adamaszek na pościel szerokość
na poduszki metr 45 fen.
Adamaszek szerok. na pierzyny mtr. 75 fen.
Linon na bieliznę i pościel metr 26 fen.
Simili płótna metr $37^1/_2$ fen.
Płótna bielone metr 50 fen.
Płótna na prześcieradła w jednym
brycie metr 50 fen.
Kolorowe płótna na powleczenia metr 24 fen.
Różowe wsypy szerokość na poduszki metr 33 fen.
„ szerok. na pierzyny metr 60 fen.
Flanele na koszule metr 24 fen.
Szare ręczniki pół tuzina 90 fen.
Białe ręczniki pół tuzina 1,45 mr.
Ścierki do kurzu pół tuzina 30 fen.
Maglowniki sztuka 50 fen.
Obrusy sztuka 75 fen.
Chustki do nosa obrąb. płócienne
pół tuzina 60 fen.
Chustki do nosa pół tuzina najlepsze płótno, obrąbiane 1,50 mr.
Ręczniki do froterowania sztuka 75 fen.
Ręczniki do kąpieli sztuka 1,— mr.
Ścierki skórzane imit. sztuka 20 fen.
Nakrycia do herbaty 6 serwetek 1,50 mr.
Nakrycie do stołu 6 serwetek 4,50 mr.

Wszystkie te artykuły są w najelegancciejszych gatunkach na składzie.

Jako nadzwyczaj tanio:

Derki do podróży. Dery na konie. Wielkie chustki, chustki na głowę, szale.

Trykotaże dla pań, panów i dzieci.

ulica Zamkowa 4. ulica Zamkowa 4.

Największy dom towarowy **J. Kocheim,** 13 okien wystawowych.

Dostawca związku gospodarczego.

827

Największy interes specyalny wypraw dla nowożeńców

Zamówienia listowne od 20 mr. począwszy franko. Nie podobające się towary odbieram z powrotem i zwracam pieniądze.

Pieniądze

w każdej ilości na pierwsze resp. drugie miejsca dobrze się rentujących

kamienic

miasta ewtl. i przedmieść Poznania, także

na wsie (tj. majątki ziemskie)

prowincyi Poznańskiej, mamy od zaraz lub później do ulokowania.

DRWĘSKI & LANGNER

Dom bankowo-komisowy

w Poznaniu. *Rycerska ul. 38.*

Kawaler, stolarz, 24 lat liczący, miłej powierzchowności, posiadający 1500 mk., szuka na tej drodze

towarzyszki życia.

Dobre, gospodarne panienki, posiadające przynajmniej 2000 mk., raczą nadesłać łaskawe oferty wraz z fotografią do eksp. „Pracy" pod lit. **K. N. 833.**
Dyskrecya rzecz honoru.

Kupiec, kawaler, właściciel domostwa, polak, katolik 23 lat liczący, jasno blondyn przystojny, średnio wysokiego wzrostu, posiadający własny dobrze prosperujący interes, poszukuje dla braku znajomości pań tą drogą

towarzyszki życia.

Panny miłej powierzchowności prawego charakteru, łagodnego usposobienia, życzące sobie wejść w stan małżeński, zechcą swe oferty wraz z dołączeniem swej fotografii złożyć do Ekspedycyi „Pracy" pod lit. **S. S. 818**
Dyskrecya rzecz honoru. Anonimy się wyprasza.
Zgłoszenia uwzględniają się w 14 dniach. 8 8

WDOWA

w średnim wieku, bezdzietna, przystojna, miłej powierzchowności, posiadająca w gotówce 15 tysięcy marek, życzy sobie wyjść za mąż. 830

Życzeniem jej jest, poślubić przyzwoitego i uczciwego wdowca w starszym wieku, posiadającego stósowny majątek w gotówce lub nieruchomości na wsi lub małem mieście. — Upraszam w celu zaznajomienia się podać adres swój pod adresem:

L. P. G. Postlagernd Schildberg
(R. B. Posen.)

Młoda

ntel. wdowa z jednym synem posiad. handel owarów krótkich wartości 10 000 mk. pragnie wyjść 820

za mąż.

Mężczyźni w starszym wieku posiad. przynajmniej 6000 mk. gotówki raczą się zgłosić z dołączeniem fotografii do Ekspedycyi „Pracy" *No. 100,*

Młody, przystojny, inteligentny kawaler, dosken ły przemysłowiec i posiedziciel dobrze prosperującego interesu na Górnym Śląsku szuka dla braku znajomości na tej drodze 812

żony

młodej, przystojnej, skromnego wychowania panienki, polki z odpowiednim majątkiem (4 do 6000 mk.) Łaskawe oferty z dołączeniem fotografii uprasza się nadesłać pod lit. **S. B. 1000** do Ekspedycyi „Pracy". Dyskrecya rzecz honoru!

W. Niedbalski — Poznań
Ul. Rycerska nr. 1, narożnik pl. Wilhelm.
Skład delikatesów, kolonialny i win.
WINIARNIA
poleca na ADWENT wielki wybór rozmaitych serów, wędlin i marynatów postnych.
Jarzynki i owoce, konserwowane i suszone bardzo tanio!
Specyalność: Kawy palone i herbaty!

Tanie czeskie pierze na pościel.



10 funtów: nowego dobrze dartego 8 mrk., lepszego 10 mk., białego jak kwap miękiego, dartego 15—20 mrk., śnieżnobiałego jak kwap miękiego, dartego 25—30 mrk. —
Wysyłka franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwróceniem porta, dozwolona. 748
Benedickt Sachsel, Lobes 365.
Post Pilsen, Böhmen.

Poszukujemy

celem kupna dobrze się rentującą

KAMIENICĘ

w centrum miasta Poznania — przy zaliczce w każdej wysokości.

Drwęski & Langner
Dom bankowo-komisowy
w Poznaniu. Ul. Rycerska 38.

Szczurom

myszom śmierć „Ackerlon". Najlepszy środek! Tylko prawdziwe w paczkach 60 i 100 fen. w aptekach i drogeryach. 816

Co tylko wyszło:

Der kleine Rechtsanwalt
von Dr. F. Koenig.

Dzieło to w języku niem. zawiera objaśnienia prawne we wszystkich sprawach sądowych, jak skarzyć, jak się bronić samemu przed sądem. wraz z podaniem kosztów sądowych i adwokackich, we dług najnow. prawa, z wielu formularzami i przykładami
Niezbędne dla każdego.
Cena egzempl. 1 rk. z przesyłką 1,10 mrk. przez zaliczkę 1,35 mk.
Księgarnia
N. Kamieńskiego i Sp.,
Poznań, św. Marcin 16/17.

Niesłychanie tanie a jednak prawdziwe!

ALBUM

Sławnych mężów polskich w wielkim formacie zawiera 72 portretów najznakomitszych naszych poetów, historyków, powieściopisarzy, artystów, malarzy, rzeźbiarzy, ojców kościoła katol. i t. d. najstaranniej i trafnie wykonanych w bogatej oprawie z wyciskami złoconemi na okładce i kosztuje tylko 1 markę, z przesyłką 1,30 m., przez zaliczkę 1,55 m.
Księgarnia
N. Kamieńskiego i Sp.,
Poznań, ul. św. Marcina 16/17.

Na całą okolicę i daleko po za granicą tejże — ogólnie znany, bardzo dobrze zaprowadzony, pierwszorzędny

Dom Towarowy

pod firmą Stefan Lesiński w Raszkowie

który pod powyższą firmą już od blisko ćwierć wieku w Raszkowie istnieje i świetnie prosperuje, z obrotem około stu tysięcy marek rocznie, we własnej, specyalnie w tym celu pobudowanej kamienicy, w najlepszej części miasta, — przeszedł wskutek zamiany na majątek ziemski na własność naszą i jest od nas pod korzystnymi warunkami

zaraz do nabycia!

Skład obejmuje, jak każdy większy dom towarowy, wszelkie możliwe gałęzie handlu, a więc towary kolonialne i drogeryjne, dalej wino, cygara, mąkę, towary krótkie, galanteryjne, przeróżne drobnostki praktyczne i luksusowe, zabawki dziecięce itd., wreszcie obuwie, żelazo, sprzęty gospodarcze, domowe, kuchenne, wszelkie zapotrzebowania rolnicze itd., jednem słowem wszystko, co w życiu codziennem zachodzi i potrzeba.

Zapas towarów ogromny, — zajmuje wyłącznie cały, bardzo obszerny dom i to od sklepu, aż do szczytu, a na wszystko codziennie kolosalny zbyt.

Okolica rolnicza, zamożna i czysto polska, a ponieważ większe miasto Ostrów półtorej mili odległe, przeto koncentruje się wszystko w „Domu Towarowym“ w Raszkowie, na którym dotychczasowy właściciel, choć przed 20 laty z skromnymi środkami zaczął, dorobił się takiego znacznego mienia, że obecnie nabył od nas większą wieś rycerską.

To oto jedyny powód sprzedaży tego tak znakomicie zaprowadzonego handlu, który młodemu, przedsiębiorczemu a dzielnemu kupcowi zapewnia już z góry świetną egzystencyą!

Tak na kamienicy jak i na handlu i towarach niema żadnych długów kupujący nabywa zatem wszystko czysto bez najmniejszego długu i bez wszelkich zaległości.

Do objęcia interesu potrzeba około 20 — 30000 marek. Zgłoszenia osobiste czy też listowne upraszamy wprost do nas do Poznania

DRWĘSKI & LANGNER

Dom Bankowo-komisowy

ul. Rycerska 38. **w Poznaniu** **Telefon 1246.**

(Interes powyżej opisany nadaje się też znakomicie do zawiązania spółki, — na co zwracamy szczególną uwagę.)

Jan Matejko.

Bitwa pod Grunwaldem.

Reprodukcya słynnego obrazu w formacie 86×60 cm.

Cena 3 mk.

Znakomite arcydzieło Matejki doczekało się nareszcie **taniego wydania,** które umożliwi nabycie go najszerszym warstwom **polskiej publiczności**.

Pomimo niebywale **nizkiej ceny 3 mk**. wykonanie w pierwszorzędnej drukarni *W. Anczyca w Krakowie*, nie ustępuje w niczem podobnym drogim wydawnictwom zagranicznym.

Obraz ten **wiekopomnego pogromu Krzyżactwa** będzie niewątpliwie ozdobą każdego polskiego domu.

Cena tylko 3 mk.

Przy przesyłce pocztowej jednego do czterech egzemplarzy dolicza się na opakowanie i koszta przesyłki **50 fen.**

UWAGA: Kto zamówi ***pięć egzemplarzy*** od razu, nie ponosi kosztów przesyłki.

Zamawiający od razu,

dziesięć egzemplarzy,

nie ponosi kosztów przesyłki i otrzyma

bezpłatnie jeden egzemplarz jako premium.

Ze względu na to nadzwyczajne udogodnienie ***poleca się*** zbieranie gromadnych zamówień *wśród członków Towarzystw, krewnych i znajomych.* Nawet w najmniejszej miejscowości znajdzie się z łatwością dziesięciu odbiorców.

Polecając to wydawnictwo względom i opiece polskiej Publiczności, upraszam uprzejmie o wypełnienie załączonej kartki zamówień i kreślę

z szacunkiem

księgarnia A. CYBULSKI w Poznaniu

skład główny.

Kartę zamówień

proszę przesłać w otwartej kopercie, nalepiając 3 fen. znaczkiem.

Niżej podpisany zamawia z księgarni p. J. A. Cybulski w Poznaniu za pobraniem pocztowem wysyłając należytość:

.... egzempl. **Bitwa pod Grunwaldem za 3 mk.**
i koszta przesyłki **50 fen.**

5 egz. tegoż po 3 mk.
10 „ i 1 egz. jako premium } **opłatnie.**

Miejscowość i adres: Imię i nazwisko:

....

N. B. Niepotrzebne wyrazy proszę skreślić,

Nasza

Kasa Oszczędności

przyjmuje depozyta od 1 Marki począwszy i płaci już od czasu założenia **bez względu** na stopę procentową Banku Rzeszy i płacić będzie nadal niezmiennie: **4½%** za kwartalnem, **5½%** za półrocznem wypowiedzeniem.*)

Kto u nas ma złożone oszczędności, a kupi grunt od nas, temu wypłaca kasa nasza depozyt nawet bez wypowiedzenia.

Kasa nasza **ma** każdego czasu na sprzedaż pupilarne pewne

pierwszomiejscowe

667

5% dokumenta hipoteczne.

Bank podpisany **kupuje**

dobra, folwarki i gospodarstwa

większe i mniejsze za gotówkę, **a sprzedaje** takowe w parcelach na długoletnią odpłatę.

Gotowe **folwarki i gospodarstwa** są u nas także każdego czasu do nabycia.

Adres:

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu (Posen, Victoriastr. 12.)

*) UWAGA. Sumy ponad 10,000 marek przyjmujemy tylko za poprzedniem porozumieniem się, podczas gdy mniejsze kwoty każdego czasu pocztą przysłać można, jednakże z wyraźnym dopiskiem za jakiem wypowiedzeniem mają być kontowane.



Największa nowość!

W państwie niem. co do użycia marka ochronna.

Koncertowy piston — akordeon

w zbudzeniu wszędzie wskutek dokładnej konstrukcyi, bardzo dobrej budowy i taniej ceny wielkie zainteresowanie.

Bez znajomości nut może każdy najładniejsze sztuki do tańca, marsze śpiewy itd. wygrać. Instrument ten ma 28 głosów przy cudownie zadziwiającem towarzyszeniu basu.

Sztuka kosztuje tylko *3,50 M.*

Szkoła darmo, tuzin 36 mk.

Illustr. pyszne katalogi o cytrach. skrzypcach, harmonikach itd. franko,

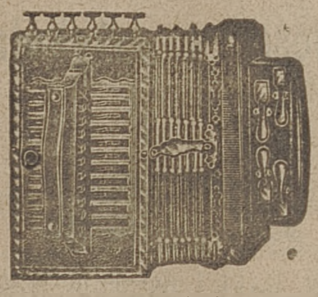
E. L. Brückner

Klingenthal i. Sa. 752)

„Sui“

tuczy świnie kolosalnie 50 f. paczka

w aptekach i drogeryach 816,



Na 8 tygodni na próbę

wysyłam każdemu za zaliczką bardzo piękną, elegancką, nadzwyczaj mocno zbudowaną **ręczną harmonikę koncertową** z niezłomnem urządzeniem sprężynowemi ze 16-tu dwurzędowemi swietnemi trąbami, ankrem lub gwiazdą, 16 tu pierścieniami odgłosowemi i jeszcze z wielu innemi pięknemi ozdobami. 10 klawiszami, 3 basami, 2 rejestrami, 2 kluczami, 2 daleko się wyciągającemi, bardzo mocnemi podwójnemi miechami ze stalowemi ochronnemi przykryciami i z dwóchórową znakomitą muzyką organową, 50 głosów, wielkości 35 ctm. Taki **przepyszny instrument** kosztuje tylko jeszcze 4 i pół marki, z dzwonkiem 30 fenygów więcej, **trzychórowy z prawdziwemi rejestrami i 70 głosami tylko 6 mk., czterochórowy z 4 prawdziwemi rejestrami i 60 głosami tylko 7 i pół marki, sześciochórowy z 6 prawdziwemi rejestrami i 130 głosami tylko 11,50 mk., dwurzędny z 4 basami, 110 głosami i 19 klawiszami tylko 10 mk. Szkoła gratis.**



Wielka **przepyszna** **cytra Columbia** ca 51 cm. długa, z 5 akordami, 41 strunami, szkołą do samonauki tylko **8,50 mr.**

Cytry akordowe z ...anułami 25 strunami i przyrządem, tylko **6,50 mr.** Opakowanie bezpłatnie. Porto 80 fen., zmiana dozwolona, niema ryzyka. Cenniki ... harmonikach i cytrach, zegarkach, łańcuszkach, tow. złotych, stalowych, portmonetkach i t. d. Proszę zamówić tylko u firmy

Robert Husberg,

Neuenrade Nr. 27 Westfalen (Westfalia.)

Bardzo ważne dla nadchodzących wyborów

jest

Prawo o zebraniach i stowarzyszeniach

w państwie niemieckiem,

opisujące: 806

Zebrania w miejscach zamkniętych, sprawy publiczne, polityczne. kto ma donieść policyi o zebraniu, której policyi trzeba donieść, obowiązki i prawa policyi, rozwiązanie zebrania, zebrania pod gołem niebem.

prawa robotników,

zbieranie składek i obronę prawną

Dodatek zawiera: Prawo o rozszerzaniu pism i druków oraz zestawienie wyroków najwyższych trybunałów.

Kto się chce pouczyć, ażeby w danym razie wiedzieć, jak sobie wobec policyi postąpić, niechaj się jak najspieszniej w ten **tak niezbędny podręcznik dla każdego Polaka** zaopatrzy; kosztuje on 60 fen., z przesyłką 65 fen., i jest do nabycia w wszystkich księgarniach polskich oraz

w księgarni A. Stoca. w Katowicach G. Sl.

Pierniki

na nadchodzące święta poleca fabryka pierników

A. Markiewicza w Kostrzynie.

═ Ostatnia nagroda: ═

═ Wielki złoty medal na Wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie 1900. ═

Cen niki na żądanie bezpłatnie i franko.

Do na ycia w cukierniach, handlach cukrów i kolonialnych. 795

Za darmo! wysyłam mój wielki **katalog illustrowany,** zawierający wiele nowości w **towarach stalowych z Solingen,** broni, biżuteryach złotych i srebrnych, naczyniach gospodarczych etc. etc.

30 dni na próbę



5 lat gwarancyi!

wysyłam 1 brzytwę nr. 27 pięknie szlifowaną, włącznie pochwy, 1,50 m. Nr. 29 ślicznie wyżłobioną, 2 m. Nr. 33 ff. wyżłobioną 2,50 mk. Brzytwa zabezpieczająca od zarżnięcia, patentowana, 3 mk. Za niepodobające się zwracam pieniądze. 679

Emil Jansen,

dom tow. stal. fabrycz.-wys.

Wald-Solingen 23 P.

Hurtownie! **Detalicznie!**

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod. płotów ect., jako też potrzebne szczotki i pędzle do tychże. Carbolineum koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie. 738

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek 8.



Telefon nr. 238

Zadziwiająco tanio!

Złote masiw kolczyki, 8 karat stęplowane (333) *pod gwarancyą.* 604



Nr. 32 para 7, 8, 10, 12, 14 mk. ...yczenie Na ... ków bez orze...

Cokolwiek by się nie podobało, chętnie z powrotem odbieram. Największy wybór kolczyków. Nowości! Cennik darmo i franko.

M. Szczepaniak,

zegarmistrz w Krotoszynie, Krotoschin, Bz. Posen.



Nr. 33 lub węzyki para 6, 9, 10 i 12 mk. Kolczyki okrągłe, Crete i węzyki złote para 3, 4, 6, mk.

Zegarki bardzo tanio.

Na gwiazdkę najlepszy podarek



Broszka

mat emaliowana

oprawa doublé 2,30 franko

Cennik darmo każdemu.



A. Czy nie mówiłem ci, że tylko u p. Białasa w Poznaniu warto tobie zegarek kupić?

S. Prawda nie usłuchałem twej rady a teraz mój zegarek więcej jest u zegarmistrza niż u mnie w kieszeni. 464

A. Więc powiadam ci żebyście obrączki ślubne teraz u Białasa kupili.

S. Tak, tak wiem że p. Białas sztuma obrączki z jednolitej sztuki złota robione, więc nigdy pęknąć nie mogą.

A. Napisz po cennik.

KONKURS

na posadę asystenta przy katedrze Zoologii w Akademii rolniczej w Dublanach z płacą roczną 1200 koron i wolnem pomieszkaniem kawalerskiem albo relutum.

Ubiegający się o tę posadę winni przedłożyć na ręce podpisanej Dyrekcyi.

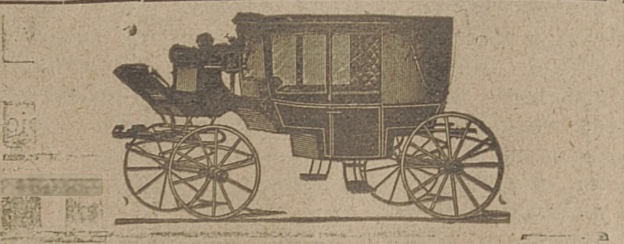
1. Metrykę urodzenia; 838
2. Krótki życiorys;
3. Świadectwo ukończonych studyów akademickich, oraz wykaz dotychczasowych prac naukowych i laboratoryjnych.

Termin wnoszenia podań upływa dnia 1-go lutego 1903. roku.

Dyrekcya Akademii rolniczej w Dublanach pod Lwowem.

Frommel m. p.

Dyrektor.



Kazimierz Bączkiewicz

═ pojazdnik ═

w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 188

Gotowe pojazdy zawsze na składzie.

Do bólu zębów używać tylko

Kropp'a watę

á fl. 50 fen. 12

(20% waty Carvacrol).

Tylko prawdziwa pod nazwiskiem „KROPP" w drogeryach u R. Barcikowskiego, Nowa ul., I. Czepczyńskiego, Stary Rynek 8, Klarowicza i Marcinkowskiego, plac Pio. Teodora Müllera, Berlińska ul. 16, Br. Sniegockiego, Rycerska ul. 38, K. Chmielewski, Wrocławska ul. 14/15 P. Wolff, Pl. Wilhelmowski 13.

Niniejszem donoszę uprzejmie, iż przejęłam firmę 829

Express

przedsiębiorstwo spedycyjno-komisowe

na własny rachunek i takowe nadal pod firmą

Express

prowadzić będę. Prowadzenie interesu jest w fachowych rękach.

Proszę o łaskawe poparcie zapewniam Szanownym klientom punktualną i rzetelną pod każdym względem usługę

Wanda Kuczkowska.

Przy zakupnach i sprzedażach prosimy Szan. Czytelników powoływać się na „Pracę“, jako na źródło, skąd odnośne informacye zaczerpnęli.

NA CZASIE!

W miłym — ze stanowiska narodowej sztuki — czujemy się obowiązku zwrócenia Czytelnikom naszym uwagę na ogłoszenie całostronne księgarni *A. Cybulskiego* w miejscu. Jak się ztąd dowiadujemy, otrzymała znana zaszczytnie w najszerszych kołach firma na ***skład główny*** arcydzieło nieodżałowanej pamięci ***mistrza Jana.*** W pysznej reprodukcyi ***Bitwa pod Grunwaldem*** świetnym — w najpóźniejsze pokolenia — będzie sławy oręża polskiego pomnikiem, ***trwalszym od spiżu*** — posługując się rzymskiego poety wyrażeniem. Pod adresem Czytelników płyną więc ze strony redakcyi naszej gorącej zachęty słowa do kupowania tak ***bezprzykładnie taniego obrazu,*** który, zamawiając zbiorowo, jeszcze korzystniej nabywać można. Nie wątpimy na chwilę, iż wydanie arcydzieła tej miary tuż przed ***Gwiazdką*** jeszcze, będzie każdemu na rękę, który nie jest obojętnym na sławy naszej pomniki widome. ***Obraz ten znajdować się powinien w każdej szczerze polskiej rodzinie,*** tem bardziej, że cena dawniejszego wydania 16 mk. obecnie w tej nowej reprodukcyi na ***mk. 3,***— została zniesioną.

Jednocześnie zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom na dołączony do dzisiejszego numeru jako osobny dodatek ***prospekt gwiazdkowy*** powyższej księgarni.